Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK / 5 ZŁR. / 5 RS. / 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

KILKA SŁÓW O PTACTWIE ŁOWNEM

PRZEZ

Barona Ferdynanda Nolde.

(Dokończenie).

Następnem co do przyjemności łowieckiej jest buszowanie w jesieni za słonkami, zwłaszcza jeżeli ich jest wiele. W tym celu używa się wyżła z przymiotami wskazanymi przy cietrzewiach, a głównie takiego, który wypatruje skinień myśliwego, i niepotrzebuje głosowej komendy, słonka bowiem jest przebiegłą i rozważną, biegnie skoro się czuje prześladowaną, a zatrzymuje się w takiem ukryciu, iż trudno ją dobrze wziąć na cel. Im ciszej polowanie się odbywa, tem pewniejszy rezultat. Najgłówniejszą rzeczą jest dokładne rozpoznanie miejsca chwilowego pobytu słonek, w dzień bowiem zmieniają często stanowisko. Tak np. widzieć można słonkę zajętą wygrzebywaniem robactwa z ziemi w bagnie, po chwili zaś przy czystej wodzie, w której obmywa dziób obłocony. W południe dąży zwykle słonka ku ochronionym od wiatru, na południe zwróconym gąszczom, tam ją więc wtedy szukać należy, wieczorem zaś w miejscach, gdzie robactwo się znajduje. Po raz pierwszy wytrzymuje słonka przed psem, i zrywa się mniej ochroniona, kilkakrotnie zaś płoszona nie dosiaduje i podrywa pod gęstym baldachimem. Wszystkie te właściwości winien myśliwy znać dokładnie, jeżeli nie chce wracać do domu z próżną torbą. Jakkolwiek ciąg wieczorny słonek na wiosnę jest wielką dla myśliwych przyjemnością, to jednak nie radzę zbyt często szukać takiej rozkoszy, ginie bowiem na tym ciągu najwięcej kur lęgowych, a parzenie się doznaje znacznej przeszkody. Niejednokrotnie dostrzegałem, iż tam, gdzie polowań na ciągu wiosennym nie urządzano, znajdowano zawsze młodzież słonczą, przeciwnie zaś, gdzie nieustannie wychodzono na ciąg, wcale jej nie było. Celem użycia prawdziwej rozkoszy na ciągu wiosennym i buszowaniu jesiennem, zostawiałem zawsze na wiosnę niektóre rewiry moich lasów w zupełnym spokoju, i miałem ztąd podwójną przyjemność. We Włoszech a mianowicie na Pontinskich moczarach bywają słonki w zimie strzelane, lub też w nocy z pomocą latarni olśniewane, wyszukiwane i w sieci łowione. Od czasu użycia strzelb perkusyjnych stał się ubytek słonek nader znacznym i widocznym, a myśliwi, którzy dawniej skałkówkami z trudnością mogli ubić jaką słonkę, stali się teraz z bronią morderczą nowych systemów, wielkimi pogromcami słonek.

Liczba bekasów i dubeltów zmniejszyła się w ostatnich dziesiątkach lat również bardzo, niezawodnie także w skutek używania nowej broni. Do polowania na bekasy i dubelty najodpowiedniejszym jest też pies blisko przed myśliwym szukający, a przytem dobry aporter. Dubelt nie wymaga zwinnego i bardzo wprawnego strzelca, ma bowiem lot równy i prosty, i nie ulatuje w zygzakach jak kszyk. Dubelt zawsze wytrzymuje przed psem, i zapada po strzale nie daleko. Zwietrzony raz dubelt staje się zwykle pewną myśliwego zdobyczą, ztąd też idzie znaczny jego ubytek. Dubelty mają swoje pewne

miejsca, na które z wiosną się ściągają w wielkich masach, gdzie szczególnego rodzaju tańcem się zabawiają, gdzie też gromadnie znajdują śmierć. — Kłusownik nie myśliwy wykrywszy takie zbiorowisko, łowi je w sidła. — Dziwne, iż na takich miejscach za dnia żadnego nie ma dubelta, i dopiero na noc mnóstwo ich się tam ściąga. — Znam okolice, w których przed kilku dziesiątkami lat mnogość była dubeltów, a dziś prawie wcale ich tam nie ma. Ów ubytek tej zwierzyny obudza żal, polowanie bowiem na dubelty dostarczało myśliwemu wielkiej przyjemności, smakoszowi przysmaczka. Ostatni najbardziej przyczynili się do ubytku tej zwierzyny, płacąc bowiem za nią wysoką cenę, podparli prześladowanie dubelta.

Zmniejszenie się liczby kszyków mniej jest uderzające, ponieważ ta zwierzyna wymaga wprawniejszych strzelców, i nie tak łatwo da się złowić, jak dubelt. Najlepszem ćwiczeniem w strzelaniu jest niezawodnie polowanie na kszyki, a każdy młody myśliwy winien swój zawód łowiecki od tych strzałów rozpoczynać, poczem z łatwością bić będzie inne ptactwo. Co do głosu, jaki kszyk-samiec na wiosnę ulatując w powietrzu wydaje, nie ma dotąd pewności, czy pochodzi on z gardła, czy też ze skrzydeł. Jabym się raczej przychylił ku głosowi gardlanemu, nie śmiem jednak mego zdania jako niezbitej prawdy postawić, gdyż poważni nader badacze są przeciwnego mojemu zdania i twierdzą, że głos ów od ostrych ruchów skrzydeł pochodzi.

Opuśćmy na chwilę las i moczary, i udajmy się na pole po zwierzynę wprawdzie bardzo rozmnożoną, ale niestety coraz bardziej się przerzadzającą, po kuropatwę. Przenosi ona starannie uprawne pola i łąki nad miejsca w stanie dzikim się znajdujące, żyje prawie zawsze na otwartej przestrzeni, i tylko prześladowana chroni się w gaiki lub zarośla, a gdy spokój powróci, wychodzi znowu na pola, rozprószona wabiąc się zbiera w gromadkę. Że kuropatwa jest mieszkańcem pól dowodzi najbardziej, iż w czasie długotrwałej, ostrej i zawalnej zimy nie szuka schronienia w lesie, lecz pozostaje w otwartem polu. Często na nieprzejrzanych, śniegiem pokrytych polach przebywają w chłodzie i głodzie, zbite w stadka, twarde zimy, wyczekując wiosny i ożywiających promieni słonecznych. Zimno i niedostatek trapią wreszcie owe wytrwałe ptaki tak dotkliwie, iż drapieżnicy z łatwością wybierają z nich ofiary. Najsroższym ich wrogiem jest bystrym wzrokiem z przestrzeni powietrznej wypatrujący pastwy na odkrytych rozłogach jastrząb gołębiarz *(astur palumbarius)*, resztę znużoną długą zimą wyławiają krogulce, kruki i sroki. W takiej to porze nie zaniedba przezorny i litościwy myśliwy, wszelkimi środkami ochraniać ród kuropatwi, mianowicie poddawaniem żeru, tępieniem drapieżców. Głównym środkiem ochrony jest zakładanie remiz, utrzymywanie w pobliżu żerowisk, łowienie i strzelanie obok remiz zwierząt drapieżnych. W mojej północnej ojczyźnie, w której zimy są zwykle twarde i długotrwałe, musianoby się wcale wyrzec przyjemności polowania, gdyby pozostawiono utrzymanie kuropatw jedynie naturze, a ręka przezornego myśliwca nie podrzucała niezbędnie potrzebnego żeru, i nie poskramiała usilnie zapędu drapieżców. Jeden gołębiarz wykrywszy stado kuropatw, wytępi je w przeciągu kilku zimowych tygodni, na dzień potrzebuje bowiem jego żołądek najmniej jednej kuropatwy, a tę z wielką łatwością łowi. Skoro jedno stadko wygubił, szuka drugiego i trzeciego na pastwę swej żarłoczności. Gdy temu zuchwalstwu myśliwy wnet nie położy tamy czyto bronią palną czy przyborami łowiącymi, to wkrótce cały rewir staje się pustym, a myśliwy zawsze z próżną torbą wróci do domu. Żywiłem zawsze w zimie kuropatwy w moich rewirach i z całą usilnością tępiłem drapieżników, toteż zbierałem bogate plony moich zabiegów, gdy bowiem sąsiedzi moi skarzyli się na brak kuropatw, ja ich miałem nieustannie znaczną liczbę. Nieco korzyści przynosiło moje pielęgnowanie kuropatw także sąsiadom najbliższym, niektóre bowiem przezemnie szczęśliwie przezimowane parki przenosiły się na wiosnę w cudze rewiry. W jaki sposób zakładane bywają remizy, nadto wiadomo, nie będę się więc nad tem rozwodzić, wspomnę tylko, iż małe kartoflami uprawne pólka dają kuropatwom odpowiednie i dobre schronienie na zimę, więc polecone być mogą. Ponieważ kartofla jest trwałem nasieniem, to jednorazowy wysiew wystarcza na lat kilka, mało sprawia trudności, i nie wymaga potrzeby pielęgnowania. W mojej ojczyźnie dostarczają rozległe jeszcze krzaki jałowcowe kuropatwom ochrony i żeru, nie pogardzają one bowiem w potrzebie jagodami jałowcowemi, lecz w skutek rozszerzającej się uprawy roli znikają coraz więcej owe ochronne krzaki. — Grunt urodzajny i uprawiane na nim role, jeżeli w pobliżu znajduje się woda, są dogodnem i pożądanem dla kuropatw lęgowiskiem, a gdy się przytem stara o dobre ich przezimowanie, to będzie myśliwy miał zawsze dosyć kuropatw, i bogatą z nich zdobycz. Że rozumny i przezorny myśliwy nie ubija w ciągu zimy żadnej kuropatwy, owszem strzeże je i żywi — jest rzeczą niewymagającą stwierdzania. Strzelanie do kuropatw w zimie słusznie nazywane bywa kłusownictwem, a kto w zimie na śniegu bije kuropatwy — jest niemyśliwym, lecz drapieżcą. Z powodu coraz szerzej rozsiewanej koniczyny, giną mnogie lęgi kuropatw, kury bowiem zakładają swe gniazda chętnie w koniczynie, rychło dającej schronienie, a nim się młode wylęgną, następuje kośba, która niszczy gniazda i jaja. Godnem zatem jest polecenia przeszukiwanie koniczyny z wyżłem przed kośbą, oraz oznaczanie dokładne miejsc, w których się gniazda znajdują, a to w celu nieporuszania ich aż do czasu, w którym się stadko wywiedzie. Często kosa ścina główkę kury na lęgu, a jaja giną. W takich wypadkach wybierałem jaja, podkładałem je na jajach bażancich siedzącym indyczkom, i osiągnąłem cel pożądany, kuropatwy bowiem wywodziły się szczęśliwie, wyrastały krzepko i zdrowo na żerze bażancim i pod opieką macoch. Tak wychowane kuropatwie stadka odwidzają w ciągu całej zimy urządzone dla bażantów żerowiska, i gnieżdżą się zwykle w następnej wiośnie w pobliżu bażantarni. Czas parzenia rozpoczyna się u kuropatw wnet po ustąpieniu śniegu, a w Sierpniu i Wrześniu już stadka są godne strzału. Ponieważ w rodzie kuropatwim, jak przeważnie u kur, więcej bywa kogutów, to odbywają się przy parzeniu zaciekłe walki między nadliczbowymi kogutami, co też dla zapłodnienia i dla lęgu często staje się nader szkodliwem. Częstokroć widzieć można jedną kurę prześladowaną przez dwóch lub trzech kogutów, a wtedy zapłodnienie albo wcale nie następuje, lub jest znacznie spóźnione. Aby temu złemu zapobiedz, można na wiosnę małą ilość nadliczbowych kogutów wystrzelać, lecz wtedy też nieraz zamiast korzyści wyrządza się szkoda, gdy to wystrzeliwanie powierzone jest nierozważnemu i niedoświadczonemu myśliwemu. Wolałem zawsze zaniechać tego wiosennego wystrzeliwania, lubo nieraz karany byłem za to jałowemi parami kuropatw. Takie wiosenne wystrzeliwanie, jakkolwiek tylko nadliczbowych kogutów, było dla mnie zawsze wstrętne i nie myśliwskie, i ostatecznie skłaniało do pozostawienia zupełnej swobody naturze. Co do polowania na kuropatwy, nie przywiodę nic nowego i nieznanego, nie ma bowiem łowca, któryby się temu polowaniu nie oddawał. Dotknę tylko niektórych, ogólnych prawideł. Najlepszym pomocnikiem w tych łowach

jest dobrze ułożony, na obszernem polu szukający setter lub pointer, angielskiej lub francuzkiej rasy, oszczędza bowiem myśliwemu często niepotrzebnego zachodu, i chroni go od znużenia i wysilenia, przeszuka bowiem dalekie obszary, a myśliwy wtedy tylko zbliża się ku niemu, gdy zwierzynę już znalazł, i twardo ją wystawia. Za blisko przed strzelcem szukającym, a nie dotrzymującym psem musi on krok w krok następować, i znuży się rychło. Kto chce rychło i na pewne, zaraz z rozpoczęciem polowania zetknąć się z stadkami kuropatwiemi, niech raniutko t. j. z brzaskiem dnia wysłuchuje i wypatruje, gdzie się stadko zwołuje i podlatuje. Zwykle czyni to stadko po dwakroć t. j. podrywa się dwa lub trzy razy, i niedaleko znowu zapada. Gdzie po raz ostatni pozostało stadko, tam niech go myśliwy szuka, a z pewnością je znajdzie, chybaby przez ludzi lub bydło było wypłoszone. Pies niech zawsze, o ile to możliwe szuka pod wiatr, wtedy bowiem łatwiej zwietrzy. Dobrze jest starą kurę oszczędzać, tak jak u cietrzewi, ale nie łatwą to jest rzeczą zwłaszcza, jeżeli kuropatwy już są duże. Przy rozpoczęciu polowania najważniejszem jest rozprószenie stadka, i w tym celu dobrze jest jeden nabój grubego śrótu posłać w środek podrywającego się stadka, świst bowiem śrótu w powietrzu przeraża je i zniewala do rozdzielenia się i osobnego zapadania. Nigdy nie należy wybijać całe stadko, owszem pozostawić trzeba przynajmniej 5 do 6 sztuk, z których znowu stadka się rozradzają. Po rozprószeniu łatwo je pojedyńczo wybić tem bardziej, jeżeli prócz myśliwych jest ktoś, który tylko na miejsce zapadania ma zwróconą uwagę. Pozostawianie stadek niestrzelanych nie można polecać, bo takie chętnie wynoszą się przed zimą, gdy przeciwnie strzelane nigdy tego nie czynią. Gdy w czasie polowania deszcz pada mocny, to chronią się kuropatwy do najbliższego lasu lub gęstych krzaków, ale wychodzą znowu, skoro tylko deszcz ustanie, a słońce promienie ogrzewające zsyła, i suszą zwilżone pióra. Tyle wskazówek dla myśliwego, gdzie on ma w różnych warunkach stadek kuropatwich szukać, i gdzie je znaleść może. Gorący i niedoświadczeni myśliwi strzelają zwykle w środek podrywającego się stadka, nie biorąc żadnego ptaka na cel, tym sposobem chybiają, i żadna kuropatwa nie spada. Dobry i wprawny myśliwy zawsze do jednej tylko mierzy, choćby najliczniejsze stadko się poderwało. Wielu myśliwych utrzymuje, że w porze, gdy kuropatwy przed psem nie wytrzymują, trzeba na nie polować przez trzy dni przed i trzy dni po pełni, wtedy bowiem kuropatwy twardo dotrzymują. Czyli to mniemanie jest błędnem lub prawdziwem, nie chcę rozstrzygać, z własnego bowiem doświadczenia nie mogę ani za tem ani przeciw temu przemawiać.

Aby nie pominąć żadnego z ptaków łowczych, niech mi będzie wolno na zakończenie kilka słów dodać o jarząbku *(tetrao bonasia)*, jakkolwiek tenże nie wymaga szczególnej zręczności ze strony myśliwego, strzela się go bowiem zwykle nie wlot, lecz na drzewie, lub w biegu na ziemi. Z nagónką tylko bije myśliwy jarząbka w przelocie, ale nie często, bo strzał do przeciągającego jest nader trudny. Lot tego ptaka jest nadzwyczajnie szybki. W każdym razie należy on do zwierzyny lotnej, musimy przeto trybowi życia jego i polowaniu na tego pięknego i smacznego ptaka kilka słów poświęcić. — Jarząbek jest widocznie północnym, a przynajmniej do chłodniejszej temperatury przywykłym ptakiem, to też na północy jest on pospolitym bardzo, a w południowych krajach znajduje się tylko na wyżynach gór. Na równych rozłogach Niemiec rzadkim jest, gdy przeciwnie w Rosyi i ojczyźnie mojej wiele tej zwierzyny się znajduje, a polowanie na nią dostarcza zawsze bogatej zdobyczy. Jarząbek trzyma się twardo i stale obranego miejsca, a zmienia je tylko wtedy, gdy przyrost tej zwierzyny jest nadto znaczny, a rywale i współzawodnicy nawzajem się wypierają. Jarząbki lubią wielkie i zwarte lasy, a w nich szczególnie takie miejsca, w których nie brak wody, a dostatek krzewów olchowych, brzozowych i laskowych. Świerczynę przenosi nad sosnę zapewnę z powodu wilgotnego umieszczenia i większego bezpieczeństwa od drapieżników. Parzenie się jarząbków przypada na jesień, a lęg na Marzec lub początek Kwietnia, więc w końcu Czerwca i początku Lipca już są młode godne strzału. Kura sama, bez pomocy koguta, lęgiem się zajmuje, pozostaje on wszakże w pobliżu jej, jakoteż później przy młodych. Stadka nie są tak liczne jak kuropatwie, i rzadko kiedy przenoszą liczbę dziesięciu, dwunastu lub czternastu sztuk, między któremi przeważają także koguty. Najsilniejsze mrozy nie szkodzą jarząbkom, nie brak im też pożywienia, mają je bowiem w pączkach olchowych i brzozowych i kotkach laskowych. Szkodliwą a nawet śmiertelnie zgubną dla nich jest powłoka mroźna, połykanie bowiem owej glazury lodowej wraz z pączkami oziębia żołądek, wywołuje biegunkę, a zwykle nawet śmierć. Podczas wielkich mrozów i zaspów śniegowych zagrzebują się jarząbki na spoczynek nocny w śnieg, i chronią się tym sposobem od szkodliwego wpływu nocy zimowej, ale nie od drapieżności lisa i kuny. Jastrząb gołębiarz uważa też zapewne jarząbki jako przysmaczek, bacznie bowiem wysłuchuje wabienia się ich, i często pada ofiarą naśladującego głos jarząbka myśliwca. Główną porą polowania na jarząbki jest wiosna i wczesna jesień, a szczególnie miesiące Kwiecień i Październik, w których one z łatwością na wabia wychodzą. Na wiosnę są jarząbki najwraźliwsze, gdy zachodni lub południowy wiatr ciągnie, przeciwnie przy północnym wietrze stygnie zapał miłosny. Myśliwy winien się do tego ściśle zastosować, poluje tylko przy odpowiednim wietrze, więc północny i wschodni zamyka go w domu. W jesieni wzgląd na wiatr nie wpływa na dobry skutek polowania, wystarcza dzień jasny i cichy. Polowałem na jarząbki zawsze z wielką namiętnością, ubiłem w życiu mojem może kilka tysięcy sztuk, miałem więc dosyć sposobności badania owej zwierzyny. Co mi doświadczenie wskazało, podam w krótkości czytelnikom moim, opiszę zwłaszcza ile możności dokładnie sposób polowania. Na wiosnę trzeba z pierwszym brzaskiem poranka, gdy wieje wiatr południowy lub południowo-zachodni, być już w rewirze, w którym prawdopodobnie jarząki się znajdują, poranna pora jest bowiem z tego powodu najodpowiedniejszą, że kury śród chłodnej nocy pilnie siedzą na jajach, a przeto oddzielone są od swych małżonków, którzy zatem łatwiej dają się wtedy zwabić, jak gdy przy połowicach zasiadają. Myśliwy staje ukryty w gąszczu, pociąga kilka razy piszczałką, która wyrabianą bywa z kości jastrzębiej lub kruczej i starannie przyrządzoną, a wnet pożądliwy kogut nadciąga w sznurowym locie, siada na drzewie w pobliżu myśliwego, i staje się jego łupem. Gdy powietrze, a przeto i ziemia są suche, to wychodzą jarząbki w biegu, i na ziemi bywają strzelane. Po ubiciu koguta, należy się posunąć dalej i wabić znowu na takiem stanowisku, gdzie można się bytności koguta spodziewać, a gdy się szczęśliwie wiedzie, poluję się w ten sposób do 10 lub 11ej przedpołudniowej godziny. Nie raz udawało mi się ubić w jednym dniu cały tuzin jarząbków, raz nawet dosięgnąłem liczby 13 sztuk. Ale takie dnie są wyjątkowe, czasem bowiem mimo odpowiedniego wiatru i najlepszego wabienia wszelkie usiłowania są bezowocne. Owe 13 sztuk zawdzięczałem nagle spadającemu śniegowi, który wszystkie kury napędził do jaj, i osa-

motnił koguty. Każdy prawie z nich przyszedł na wabia, a ponieważ strzał jest łatwy, więc w kilku godzinach miałem pełną torbę zdobyczy. Dobry myśliwy nie strzela nigdy do kury, stać się to może chyba przez nieuwagę, z tego powodu jakoteż z przyczyny stałej i znacznej przewagi co do liczby kogutów, nie przynosi wiosenne polowanie tej zwierzynie tyle szkody, ileby się zdawać mogło. Jest rzeczą zwykłą, że się od jednej kury w przeciągu tygodnia wybija 3 do 4 kogutów, a mimo tego wcale nie ma obawy, iżby na długo pozostała wdową. Na wiosnę dostatecznym jest łatwy do naśladowania głos kury, aby przywabić pożądliwego koguta, ale w jesieni trzeba też używać nader trudnego do przyswojenia sobie głosu koguta, wtedy bowiem ciągną one bardziej zagrzane chęcią walki z współzawodnikami. W głębi Rosyi, mianowicie na północy, jest niezliczone mnóstwo jarząbków, łowione więc bywają w wielkiej ilości na sidła, i rozsyłane do wszystkich znaczniejszych miast. Co do delikatnego smaku mięsa, przeważa jarząbek niezawodnie wszelką lotną zwierzynę, nader więc jest pożądanem daniem dla smakoszów. Że przy łowieniu na sidła kury nie są oszczędzane, jest rzeczą oczywistą, w mojej ojczyźnie nie wolno przeto jarząbków łowić, czem jednak kłusownictwo dosyć często się trudni.

Ponieważ bażant również należy do zwierzyny lotnej, nadmienię więc o nim w krótkości, jakkolwiek jest on tylko zaaklimatyzowanym obcym przybyszem w Europie. O bażantach i bażantarniach pisano tak wiele i z taką dokładnością, iż niepotrzebnem mi się być zdaje obszerne określenie bażantów, bażantarni i polowania na nie. Wspomnę tylko, iż przy starannem żywieniu bażantarnie łatwo nawet w najpółnocniejszych miejscach, jak np. w mojej ojczyźnie Kurlandyi, dadzą się zakładać, o czem mogę twierdzić z własnego doświadczenia, dwie bowiem moje przed kilku laty założone bażantarnie rozwijają się nader pomyślnie. Bażantarnia zresztą przynosi wielkie korzyści dla stanu innej zwierzyny lotnej, tu bowiem zwróconą jest głównie uwaga na wytępienie wszelkich drapieżców, a mianowicie nader groźnego jastrzębia gołębiarza, co też zbawiennie wpływa na całą okolicę.

W końcu tej rozprawki o lotnej zwierzynie należałoby mi właściwie wspomnieć także o dzikich kaczkach, łabędziach, dzikich gęsiach, i określić polowanie na nie dokładniej, ale pomijam to dla nadania zwięzłości rzeczy, jakoteż w tem przypuszczeniu, że rozmaite sposoby polowania na ową wodną, lotną zwierzynę dostatecznie czytelnikom są znane. Na jedno tylko czuję się obowiązanym zwrócić uwagę — na wybór odpowiedniego do takiego polowania psa. Do polowania na kaczki najlepsze są psy z długim włosem, silnej budowy ciała, wytrwałe w brodzeniu i pływaniu w zimnej wodzie. Setter, pointer, ani też wyżeł niemieckiej rasy nie dadzą się tu z pożytkiem użyć, albowiem zapadają zwykle w skutek zaziębienia w chorobę, a zresztą polowanie na kaczki psuje dobrze ułożonego psa.

Nazwałem wyżła niezbędnym towarzyszem w polowaniu na zwierzynę lotną słusznie, bo bez niego myśliwy nie wiele zwierzyny znajdzie na strzał. W tym jednak celu należy wybierać legawca dobrze ułożonego czystej, czy to niemieckiej, angielskiej, czy francuzkiej rasy. Ułożenie psa nie jest rzeczą łatwą, wymaga wiele trudu, znajomości rzeczy i cierpliwości. Komu brak tych warunków, kto nie ma czasu pracować nad psem, ten albo kupi sobie ułożonego już psa i grubo za niego zapłaci, lub też swego psa odda znanemu i pewnemu układaczowi. W tym względzie jednak doznaje myśliwy często przykrego zawodu, układaczów bowiem jest wprawdzie wielu, ale mało istotnie dobrych, nie rzadko się więc zdarza, że pies najlepszej rasy wyjdzie z rąk takiego układacza zupełnie zepsuty, a pieniądz wyłożony na jego ułożenie jest zmarnowany.

Tłumaczył J. Ł.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

RYŚ.

(Dokończenie).

Nie tylko z powodu ogromnej szkody, jaką ryś w dobrze utrzymanych kniejach lub miejscowościach bogatych w trzody wyrządza, ale też w poczuciu wysokiej łowieckiej przyjemności i zasługi — poluje każdy prawdziwy i rycerski myśliwy z zapałem wszędzie, gdziekolwiek znajdzie, na owego srogiego drapieżnika. *Łowy* takie odbywają się w rozmaity sposób, mianowicie z obławą, z ogarami, z gończymi, na zwabionego, lub też łowi się go na żelaza, w sieci albo w jamie. Nim szerzej o tych sposobach mówić będziemy, musimy nadmienić, że trop rysia podobny jest do tropu kota domowego lub żbika, ale większy i regularniejszy. Idąc lub bieżąc kłusem zwyczajnym sznuruje w prostej linii, w ucieczce zaś stawia tropy jak lis. *Rossmässler* przywodząc wzmiankę, iż można rysia jak kunę pewnym przedmiotem przykuć do miejsca tak, że wystarczy czasu do przyniesienia strzelby z domu, wyraża w tym względzie wątpliwość i dodaje, iż myśliwy wybierający się na rysie winien w każdej chwili być gotowym do celnego strzału, lichy strzelec niech lepiej w domu pozostanie, zraniony bowiem ryś nie żartuje, rzuca się na człowieka i kaleczy śmiertelnie, jak o tem świadczą liczne wypadki, szczególnie w Skandynawii. A że jest silnym, dowodzi Altum opowiadaniem, iż leśniczy Pauli dostrzegł, jak ryś uduszoną sarnę unosił więcej jak 100 kroków pod górę. Już z tego, cośmy wyżej o rysiu mówili, wynika, że myśliwy staje do walki z groźnym i niebezpiecznym przeciwnikiem, że przeto winien się uzbroić nie tylko w dowodną broń, ale też w przytomność umysłu, odwagę i wytrwałość. Tschudi mówi: „Skoro tylko w Alpach szwajcarskich rysia otropiono, wyrusza wszystko przeciw niemu na łowy, ponieważ jednak on tam nader rzadki, nie urządzają się normalnie polowania na rysia, a spotkanie z nim jest tylko przypadkowe. Inaczej rzecz się ma w dostępniejszych, łatwiejszych dla łowów okolicach, zwłaszcza na północy, gdzie każdej zimy najregularniej urządzane bywają polowania na rysie. — O znacznej ich liczbie w Rosyi w obecnej chwili zapewnia Nolde czyniąc zarazem wzmiankę, iż jeden ryś więcej szczególnie sarnom wyrządza szkody, jak 6 wilków, i dodaje, że sam

zabił rysia, który bogaty stan sarn doprowadził do zera. Sołtan w korespondencyi do „Łowca“ nadmienia o szkodliwości rysia dla zwierząt domowych i leśnych dodając, że nawet na łosie rzuca się w zimie, gdy one w głębokim śniegu zapadają. Wspomina oraz o rozróżnianiu ich na Litwie. Jeden rodzaj większych z brzydką szerścią, mniej centkowanych, zowią tam włościanie chłopem, drugi zaś z pięknym włosem i mocno znaczony, szlachcicem. Czyni też wzmiankę o przesądzie ludowym, iż należy mało centkowanego rysia zaraz po zabiciu zakopać w ziemię, a centki wystąpią niezawodnie. — Podaliśmy również w kronice naszej wiadomość wziętą z Gazety Lwowskiej o rozmnożeniu się obecnie zwierząt drapieżnych w Królestwie Polskiem mianowicie w powiecie Prużańskim, do tego stopnia, że ryś unikający zwykle człowieka, rzucił się na konia zaprzężonego u wozu, na którym spał chłop. Ztąd wynika jawny wniosek, że ów groźny drapieżnik rozmnożywszy się, mógłby niezmiernc czynić szkody, gdyby człowiek wszelkimi możliwymi sposobami nie tępił go, znając dokładnie tryb jego życia, zwyczaje i środki służące do wygubienia go. O tych ostatnich obszerniej obecnie mówić pragniemy. Przy rozszarpanej lub zagrzebanej przez rysia zwierzynie, stawia się często z dobrym skutkiem żelaza denkowe w sposób, jaki podaliśmy przy opisie żbika. Także na otropionych przesmykach lub przy porzuconem zwierzęciu. Ryś jednak rzadko wraca do porzuconej zwierzyny, a gdyby nawet wrócił, to zwietrzy zwykle łapkę tem bardziej, iż nie ma na niego dotąd dobrego odwiatru, wreszcie włóczy się on w przestrzeniach nadto dalekich, aby z pewnością można liczyć na dobry skutek, często też unika przezornie żelaz, umie nawet ściągnąć z nich ponętę nie dotknąwszy chwatów, aż też w końcu i taki mistrz w szczęśliwej chwili się ułowi. Zchwytany wpada w wściekły szał. „Ci, którzy rysia żywcem — mówi Kobell — w żelaza łowili, mieli sposobność patrzyć na ich dzikość. Wściekłość rysia w takim razie nie ma granic, miota się gwałtownie, i wyrywa sobie często łapy i zęby. Gdy myśliwy się ku niemu zbliża, wlecze, w tył się posuwając, z sobą żelazo, które zawsze przymocowane jest łańcuchem do drzewa lub do grubego korzenia, i zwraca swój wściekły wzrok, straszliwie mrucząc ku nadchodzącemu. Kiedy sądzi, iż może myśliwego dosięgnąć, rzuca się nań w tak potężnym skoku, iż zaprawdę groza na ów widok przejmuje. Zwykle przy wysileniu uwolnienia się z więzów, wyrywa sobie pazury, łamie nogi. A jednak udaje się żywcem łowić rysie. Leśniczy w Oberwinkel Majer wydobył kilka rysiów żywcem z żelaz. Wykonywał to w ten sposób, iż ściętą młodą sosenkę utwierdzał pod korzeniem ponad rysiem tak, iż ona żelazo przytrzymywała, następnie przygniatał rysia ową sosenką ku ziemi, wreszcie chwytał łapy w silne sidła, ściągał je mocno, i ubezwładnionemu wkładał knebel w paszczę. Tak pokonanego rysia wieziono raz aż do Monachium, gdzie go królowi Maksymilianowi I. ofiarowano“.

Wabienie rysia wiedzie często do pożądanego celu, ale zachować przy tem należy wielką ostrożność w starannem ukryciu się oraz dokładność naśladowania głosu sarny, zająca, królika i t. p., w takim tylko bowiem razie ryś zbliża się do myśliwego, i staje się pewną jego zdobyczą. Stwierdza to Kobell przywodząc, iż w r. 1820 wyszła na myśliwego, naśladującego wybornie głos sarny, rysica z trzema młodemi. Nolken nadmienia, iż sposób ów spotkania się z rysiem, nie bywa nigdy na północy używany.

Uwzględniając potężne skoki rysia, praktyczneby były jamy z umieszczonem we środku żywem zwierzęciem, ale jama taka musi być bardzo głęboka, z gładkiem zupełnie obszalowaniem.

O polowaniu na rysia z nagónką wyczerpującą daje wiadomość Nolken: „Najczęściej — mówi on — otropienie rysia na czarnej stopie, a tem bardziej po ponowie jest rzeczą łatwą, zachodzą wszakże i w tem często trudności. Włóczy się ryś po udeptanych ścieszkach zajęczych, gdzie nie łatwo trop jego dostrzedz, chodzi chętnie po wyjeżdżonych drogach, i rzuca się z nich, (jakośmy wyżej wspomnieli) szalonym skokiem w gęstwinę, a przeto trop jego nagle znika. Inaczej go się goni, jak lisa. Ostatniego łatwo wypędzić szczupłą nawet garstką nagonki, ale rysia nader trudno nawet najliczniejszą. Polega to na wielce różnem usposobieniu obu zwierząt. Ryś jest płochliwym i przezornym drapieżnikiem, posiada ów spokój i przytomność umysłu, które zdają się być właściwością wszystkich kotów. Unika wprawdzie człowieka, ale nie lęka się żadnej wrzawy. Ztąd pochodzi, iż często legowisko sobie obiera przy samej gęsto nawidzanej drodze. Jeżeli się nagónka nie wdziera w gąszcz, to może też i wolne miejsca pomijać, bo tam go pewnie nie ma. Trzeba mieć wiele nagónki, aby przetrząść każdy krzaczek, w przeciwnym razie będzie to bezcelowa zabawka w chowankę, i pewnie nikt rysia nie zobaczy. Zależy naturalnie od położenia miejscowości. Jeżeli myśliwi mają w plecach gąszcz zwarty szerszem lub węższem pasmem z gąszczem miotu, który się właśnie bierze, to owe pasmo jest niezawodnie przesmykiem rysia, i wówczas jest prawie pewność spotkania się z nim. Lecz gdy miot jest jakoby wyspą, okrążoną rzadkim lasem lub polami, to próżny wszelki trud. Wtedy ryś pozwala nagónce zbliżyć się ku sobie, a upatrzywszy odstęp, kryje się w nim, i umyka, gdy ona go minie. Jeżeli zmuszony jest ruszyć z miejsca, nie pomyka na oślep prosto, lecz rozgląda się, wysłuchuje, unika naganiacza, przekrada się przez odstęp po za nagónkę. Trzeba więc natychmiast po przegonionym miocie objechać go na nowo, ryś bowiem za dnia daleko nie idzie, można go więc otropić i gonić kilkakrotnie, jak długo mrok nie zapadnie. Drugi lub trzeci miot częstokroć lepiej się wiedzie, jak pierwszy, bo chwilowe schronienie ryś łatwiej opuszcza, jak legowisko. Myśliwi najbardziej winni wytężać uwagę w chwili, gdy nagónka już do linii strzelców się zbliża, gdyż wychodzi ile może najpóźniej. Spostrzegłszy strzelca lub przeczuwając niebezpieczeństwo, wymyka się niespodziewanie z szybkością błyskawicy na linię strzału tak, że prawie niepodobieństwem wziąć go dobrze na cel, posunąwszy się wszakże dalej poza miejsce zagrożone, zwalnia kroku i już bez trwogi uchodzi“.

Polowanie z psami jest pewniejsze i ponętniejsze, jak z nagónką. Pies musi być dobrze ułożony, silny, wytrwały i rączy, a gdy jeszcze posiada ów nieoceniony przymiot, że goni cichaczem, a głosi tylko, gdy ma zwierzę na oku, to już na rysia jest przewyborny. Główną rzeczą jest, by gonił rączo, powolny bowiem zławiacz nie wiele tu zdziałać może. Dobry pies, który już nieraz rysia gonił, nie da się łatwo lada zajączkiem zbić z tropu. Gdy więc otropiono rysia, obstawia się przedewszystkiem wszelkie domniemane przesmyki myśliwymi, wiedzie się psa na linewce po tropie aż niemal do legowiska, i wtedy puszcza swobodnie. Ryś w takim razie albo wychodzi na którym przesmyku na myśliwego, lub stawia się psu, albo skacze na drzewo, w obu ostatnich wypadkach staje się łatwym łupem myśliwego, wskazuje go bowiem zdradliwe naszczekiwanie psa. Przy silnym mrozie, lub gdy śnieg zbyt twardy, goni pies źle, i łatwo zbija się z tropu. Lecz nawet śród najpomyślniejszych warunków nie zawsze polowanie się udaje. Ryś mistrzem jest w krzyżowaniu tropów, w zawrotach i odskokach, pędzi po pniach powalonych drzew przez całą ich długość, a

z nich w szalonych skokach na bok w gaszcz się rzuca, i używa jeszcze innych tysiącznych sztuczek, aby psa zmylić. W obec powolnego psiaka, udaje mu się to najczęściej, gdy nawet nie zbyt szybko pomyka. Wszelkich podstępów używa on tylko wtedy, kiedy na pięty następuje pies rączy i zacięty, który mu nie daje ani chwili do rozmysłu i wypoczynku, gdy zaś czuje za sobą flegmatycznego pedanta, wtedy w poczuciu przewagi nad nim, wcale się nie spieszy a unika psa jedynie dla miłego spokoju. Tylko więc wobec gwałtownego psa widzi się zmuszonym opuścić gąszcz. Skoro pies oszczekuje stale pewne miejsce, należy pospieszać, jednakże uważnie, aby go nie spłoszyć w razie, jeżeli na ziemi psu do oporu się stawił. Gdy siedzi na drzewie, trzeba naprzód psa na linewce uwiązać, potem strzelać, mógłby bowiem pies przez zranionego rysia ciężko być skaleczonym. Nolken radzi polować tylko z jednym psem, ponieważ sam jeden nie rzuci się na rysia, zgraja zaś cała atakuje go, i najczęściej ciężkie ponosi straty. W takim razie przewraca się ryś na grzbiet, i używa do obrony wszystkich czterech łap, uderzając niemi na pewne, i ciężkie zadając razy. Jak mało sobie ryś waży wrzawę myśliwską, najlepiej świadczy wypadek, za którego prawdziwość Nolken ręczy: „Piekielna wrzawa nagónki już się zbliżała do myśliwych, gdy ryś nareszcie na nich wytknął. Jeszcze nie był wyszedł na odległość dobrego strzału, kiedy biały zając, również przez nagónkę pędzony, przemknął pomiędzy rysiem a strzelcami. Niezrażony wrzawą nagónki rzuca się ryś w kilku skokach na zająca, ale nim go dosięgnął, już padł martwy od dobrze wymierzonego strzału“.

Zwykle unika ryś lękliwie spotkania z człowiekiem, ale skaleczony lub w ostateczności rzuca się nań zuchwale i rozpaczliwie, i staje się przeciwnikiem nader groźnym. „Byłoto w ostatnich dniach Lutego — opowiada Szwed Aberg — znalazłem trop rysia. Ponieważ w tych kniejach było wiele wilków, włożyłem na psa koszulę kolcową. Po trzechgodzinnym niemal gonie, opadł ryś wreszcie z sił, i stanął do obrony w pobliżu brzozy, którą pies stale oszczekiwał, dokąd nie nadbiegłem. Zapewne odległość była nadto znaczna, bo strzał nie raził go śmiertelnie, a z drugiej lufy nie mogłem strzelić, gdyż ryś rzucił się natychmiast jednym susem na psa. Wszczęła się zażarta walka, którą starałem się przerwać moją interwencyą. Udało mi się to o tyle, że ryś puścił psa a natomiast wpił się pazurami w moją nogę. Ponieważ w jednej chwili uczułem dotkliwie ostrość i głębokie wnurzenie się pazurów w moje ciało, usiłowałem rysia oderwać, ale w skutek gwałtownego poruszenia padłem twarzą w śnieg, przyczem miałem rozżartego potwora na sobie. Poczciwy pies oswobodził mnie od strasznego przeciwnika, ponawiając walkę z nim, która wreszcie śmiercią rysia się zakończyła. Pies był mocno pokaleczony, i byłby niezawodnie dzielność swoją życiem przepłacił, gdyby go koszula kolcowa od pazurów i zębów rysia nie chroniła“. Inne podobne zdarzenie przytacza „Jagdzeitung“: “Pewien pasterz w Galicyi był nagle trwożliwym głosem bydła zaniepokojony, i ujrzał, że jakieś nieznane mu zwierzę drapieżne wpadło w środek trzody i rzuciło się na owcę. Uzbrojony tylko w kostur wpadł na drapieżnika sądząc, że to płochliwy wilk, jakiego już nieraz kołem poczęstował i do ucieczki zmusił. Tym razem jednak inaczej się stało. Gdy rabuś spostrzegł zbliżającego się pastucha, puścił owcę, w kilku skokach dosięgnął człowieka, i objął pazurami przednich łap z przodu tak, że pastuch poznawszy swoją omyłkę co do istoty zwierzęcia, począł głośno wołać o pomoc. Kilku w pobliżu pracujących robotników nadbiegło, i znalazło rysia i człowieka w wyżej opisanej pozie Bezwłocznie uderzyli kołami na drapieżnika, aż w końcu pół martwy odrywając się od pastucha legł na ziemi, gdzie wreszcie kilka jeszcze ciosów życia go pozbawiło. Leśniczy Marx z Wiesensteig w Würtembergii opowiada o zabiciu rysia, co następuje: „Zima z 1845 na 1846 była łagodna i nie śnieżysta, a jednak przebywał w lasach wilk, który pod imieniem Abdelkader dobrze był straży leśnej znany. Tropiono go starannie, i ubito w końcu. W połowie Stycznia mało o nim słyszano, ale właśnie w tym czasie znalazłem w rewirze koronnym Pfannenhalde miejsce, gdzie świeżo była rozszarpana sarna. Wielkie szmaty skóry, które leżały na ziemi, kazały mi domniemywać się większego rabusia. Naturalnie padło podejrzenie na wilka, wytężyłem więc moją uwagę. Gdy wszakże nie było śniegu, mogłem jedynie z ogólnego popłochu sarn wnioskować, iż w rewirze straszny drapieżnik gości, nie mogłem go jednak wytropić. W nocy z 11 na 12 Lutego padł wreszcie śnieg, rozpocząłem przeto usilne tropienie. 13 znalazłem jakiś podejrzany mi trop, rabuś pochwycił w rzadkim lesie sarnę, i zawlókł ją ku stokowi góry w pobliżu ruiny Reisenstein. Sarna żerowała na bezdrzewnej polance, a rabuś podkradł się pod nią. Skrył się w gęstym bukowym krzaku, i z niego wykonał, jakto się wyraźnie na śniegu okazało, skok na 5 metrów. Sarna usiłowała wymknąć się, lecz pochwyconą była drugim skokiem. Wtedy złoczyńca ją zamordował i powlókł dalej. Trop był dla mnie zagadkowym zwłaszcza, że była pewność, iż to nie wilk. Z 14 na 15 Lutego nastąpiła odwilż z burzą, a nie wielki pokład śniegu stopił się wnet. Wyruszyłem wszakże z brzaskiem dnia w towarzystwie dwóch strażników lasowych w celu tropienia. Przez długi czas próżne były nasze poszukiwania, popołudniu jednak wiedzieliśmy stanowczo, że owe nieznane nam zwierzę leży między ścianą góry Neidling-Reisenstein a górą zwaną Pfarrensteig. Znaleźliśmy tropy jego dwa idące ze stoku góry ku nizinie, trzy zaś ku górze, lecz tropy owe wykryliśmy po długiem szukaniu, burza bowiem zawiała je i zatarła prawie zupełnie. Nie mała była przeto dla nas robota! Posłałem do Neidlingen po strzelców, ci jednak odpowiedzieli, iż w takim tylko razie wyruszą, jeżeli trop wilka (o nim tylko myślano) jest świeży. Byłem pewny, że zwierz pod ścianą góry ukryty, ale byłato już trzecia godzina po południu, nie pozostało mi więc nic innego, jak prosić rządzcę Reisensteinu o jednego parobka, którego użyłem jako naganiacza. Poleciłem mu zbliżyć się jak najciszej ku skale, ja zaś z dwoma moimi towarzyszami stanąłem przed nią. Pierwszy miot był bezskuteczny, w drugim spostrzegłem rabusia w pobliżu ruiny Reisenstein. Pełzał tak blisko skały, żem tylko przez chwilkę go widział i to tylko z tyłu, wystarczało to jednak dla mego przekonania, że to nie wilk. Nie wiedziałem, z kim mam właściwie do czynienia. Stałem na skale, i miałem dosyć rozległy widok, ale zapewne zwierzę spostrzegło mnie także, bo nagle rzuciło się szalonym pędem naprzód, mimo tego wszakże miałem dobrą sposobność, gdy skoczyło ze skały na ziemię, dwa razy wystrzelić. Wpadło w gęste krzaki i legło martwe po kilku susach. Teraz dopiero dowiedziałem się, jakiego miałem przeciwnika. Był to silny ryś, samiec wielkości średniej miary legawca, przepięknej barwy, pysznie centkowany na przednich łapach, na podstawie uzębienia cztery do pięciu lat liczący. Ważył 48 funtów. Strzał mój przeszył mu serce. Później dopiero po tropach stwierdziłem, że leżał w małej rozpadlinie skalnej ruiny, dobrze zchroniony, w miejscu suchem“.

Ciekawe wydarzenie z rysiem opowiada Nolde (Sport Zeitung 1879 Nr. 97): „W pewnem leśnictwie Kurlandzkiem

goniły psy starego rysia tak ostro, iż tenże w ostatecznej potrzebie schronił się na wysoki kół u płotu starego. W polowaniu brał udział nauczyciel synów właściciela dóbr. Nigdy on nie widział rysia na wolności, i nie znał niebezpieczeństwa przy zbliżeniu się do tego groźnego kota. Pierwszy on na koniu przypadł do złai oszczekującej rysia na kole. Zamiast go po prostu dobrze wymierzonym strzałem powalić na ziemię, wpada nie bardzo św. Hubertowi miły pedagog na dziwny koncept, ściągać ręką rysia i rzucić go na pastwę psom. Na coś podobnego żaden doświadczony myśliwy nie odważyłby się. Podkrada się więc naiwny profesor z tyłu, chwyta szybko i silnie zwierzę za krótki ogon, i ściąga je na ziemię, gdzie na szczęście cała złaja psów opada go wściekle i dusi, nim zdołał stawić się do obrony. Poważam się twierdzić, iż ów wypadek jedynym jest w dziejach myśliwstwa. Kto miał z rysiem do czynienia i miał sposobność poznać złośliwość tego kota, nie pojmie, jak mógł myśliwy w taki sposób zetknąć się z nim. Nie można to nazwać zuchwałą odwagą, bo nauczyciel bez znajomości natury rysia uknuł ów szalony plan, który wyjątkowo szczęśliwie się powiódł. Jakkolwiek ryś mniej jest dla myśliwego groźnym, jak niedźwiedź, bo płochliwie unika człowieka, to jednak w tym, i temu podobnych wypadkach zawsze broni się zaciekle, i rzuca się z całą swoją przyrodzoną złośliwością na myśliwego. Fryc — pedagog niechaj ów wypadek zapisze do niesłychanie szczęśliwych momentów swego życia, i niech głosi o nim na przestrogę dla innych jemu podobnych myśliwych“.

Wyżej podaliśmy szczupłe ale charakteryzujące rysia podania i badania naszych myśliwych i przyrodników — dołączamy jak zwykle przy opisie każdego zwierzęcia wielce ciekawy i treściwy wizerunek rysia, jaki znajdujemy w szacownym dziś jeszcze tak co do treści, jakoteż języka dziele Haura: Skład abo skarbiec znakomitych sekretów o ekonomiey ziemiańskiey. Kraków 1693, które kilkakrotnie przedrukowane miało w swoim czasie niemałe znaczenie i powagę: „Zwierz ten przedni i cudny jest w sobie, bo względem futra drugi jest po sobolu w swoim szacunku, względem rodzaju i natury jest spólny z inszemi, różni się jego gatunek według kraju, w którym się chowa; więc że się i tu w naszym polskim kraju gęsto po wielu miejscach znajduje, zaczem różność i gatunek jego opiszę. Natury jego dyspozycya: jest właśnie w swojej posturze podobny do kota domowego albo cypryjskiego, głową, oczyma, nogami, postacią, gestami i ogonem, tylko jest w sobie urodą większy, jest także zjadły i drapieżny, na wysokie drzewa z przestraszenia od myśliwych uchodzi, wskakuje i przeskakuje, od jednego do drugiego drzewa jako wiewiórka i kotów trybem, które po dachach ile w Marcu tańcując, przebiegają się. Co się zaś tycze o jego rodzaju, w cudzoziemskim kraju, różny tam ich znajduje się gatunek, we Szwecyi jest tego nie małe mnóstwo, kusznierze po gatunku futra kraj ich poznawają, perskie jednak są najprzedniejsze, które po skałach biesiadują. Pardus, od którego pantera ryś pochodzi, w murzyńskiej ziemi znajduje się, ma postać wołu wielkością i rozłożeniem rogów, jako jeleń głowę podobną mający, szyję ma jako niedźwiedź i sierść takową. W tych tam krajach, gdy z trudnością szukając znajdują wodę dla napoju i posilenia swego, zbiegają się z sobą, oraz lwice, z któremi ten pardus łączy się, i lęgą się z nich rysie, mając wzory po sobie podobne pardusowi. Bywa ich jeszcze trzeci rodzaj z wielbłądzicy, gdy się pomieniony z nią łączy pardus. Ryś krom futra samego jest niepospolity, skórę mając biało-pstrą, którego gdy łowcy łowią, jednego nad drugiego dla białości szacują, albowiem znajdują się bielusieńkie jako śnieg, z cynkami osobliwemi po sobie, podług których drożej je przedawają. Do ukąszenia zjadła ta bestya z prędkości, gdy myśliwi to zwierzę do swego doganiają połowu, widząc już swoje niebezpieczeństwo i zgubę, korzy się, i prawie ledwie się nie prosi, ucieka łącząc się do człowieka, w jego podając obronę. Piszą o nim różni autorowie, że jeden człowiek podróżny w wielkiej zabłądziwszy puszczy, wielkiego swego od zwierza obawiał się niebezpieczeństwa i napaści, którego napadłszy ryś, że mu dzieci jego rysięta w głęboki za przeniesieniem wpadły w dół, łasił się koło niego, jakoby go prosząc, aby chciał ratować pomienione szczenięta, więc tedy ująwszy się kraju szaty tego człowieka potężnie zębami, na to miejsce przyprowadziwszy, skomlał głowę zniżając przed nim ku ziemi, łasił się, aby mu te rysięta z dołu tego oswobodził, a gdy to uczynił, gdy je wyprowadził, lizał nogi jego, wielce mu dziękując za to wyświadczone dobrodziejstwo. Piszą jeszcze o tym rysiu, że gdy się zielem pasząc otruje, gdy we wnętrzu ztąd poczuje niestrawność, wybiega z niej, szukając tak długo po miejscach gnoju człowieczego, aż go znajdzie, pożywając nim się ratuje i leczy, innego na to nie zażywając remedium, bo wie o tem swojem z doświadczenia lekarstwie. Mięso jego ze wszystkiemi wnętrznościami krom szczególnej jego skórki na nic się nie przyda, futro zaś im piękniejsze, bielsze i centkowatsze, tem skuteczniejsze i droższe jest“.

Nakoniec rzucimy jeszcze kilka słów o pożytku, jaki ryś żywy lub martwy przynosi. Nie ma wątpliwości, iż z żywego ani rolnictwo ani leśnictwo nie ma korzyści, myszami on bowiem tylko wyjątkowo się żywi, nie tępi też szkodliwych owadów, a natomiast straszne czyni spustoszenie w zwierzostanie, czego wyżej daliśmy dosadny i wystarczający obraz. Więc tylko martwy jest cenny i poszukiwany. Suknia (skóra) rysia daje wyborne futro. Należy ono do najpiękniejszych i najcenniejszych. Okazałe i ciepłe, ale nie trwałe, bo włos jest kruchy, i łamie się po dłuższem używaniu. Im wyżej z północy, tam cenniejsze. Na miejscu w Syberyi płacą za najpiękniejsze do 15 rubli za pojedyńczą skórkę. Zamożni Jakuci ozdabiają nią swoje ubranie. Skóra z przednich łap bywa osobno płacona po 4 do 6 rubli za parę. Wartość jednego futra rysiego równa się tam wartości trzech sobolowych, sześciu wilczych, dwunastu lisich, stu wiewiórczych. Rysie wschodniej Syberyi, jak twierdzi Radde, idą głównie na targi chińskie, i są szczególnie przez nadgraniczne górskie ludy mongolskie poszukiwane. Przed dwudziestu kilku jeszcze laty mieniano zwłaszcza jasne skóry rysie na straży granicznej nad Ononem, i wypędzono ich wartość aż od 25 do 30 rubli sr., lub 60 do 70 cegiełek herbaty. Czerwone skórki są o wiele tańsze, a jednak kosztują 4 do 7 rs. Tylko wysocy dostojnicy chińscy kupują takie futra. Lomer podaje, iż z Syberyi bywa wyprowadzanych na handel rocznie 15.000 skór rysich, z Rosyi i Skandynawii 9000. Pietruski mówi: „Zimowe futro rysie dostarcza kosztownych szub, palatynek, zarękawków i kap na łóżka. Dawniej używano rysich czapraków, albo przewieszano skóry po pancerzu. Syberyjskie błamy, jako największe i najjaśniejsze, najwięcej są poszukiwane“. — W Polsce dawniej tylko magnaci używali futer rysich. — Pazury oprawiane bywają w srebro, i noszone przez myśliwych jako trofea. — Mięso rysie dzisiaj prawie wcale nie używane, jako wstrętne, ale Kałmuk uważa je jako przysmaczek, a dawniej podawano je na najwykwintniejszych stołach. W r. 1578 posłał — według Landaua — hr. Jerzy Ernest v. Henneberg dwa przez swoich myśliwych ubite rysie do Kassel landgrafowi Wilhelmowi. „Ślemy Waszej

Miłości — pisze on — dobrze zachowane w nadziei, że je W. M. jeszcze tej zimy w świeżym stanie otrzymasz. Upraszamy przyjaźnie, byś je W. M. łaskawie i uprzejmie przyjął i spożył z dobrym smakiem wraz z małżonką i młodem Państwem wesoło i w dobrem zdrowiu". Kobell pisze, że jeszcze w czasie Kongresu Wiedeńskiego często rysie dania pojawiały się na stole monarchów, jako też, że w r. 1819 dano rozkaz zabicia rysia, którego pieczeń rozpędzała królowi bawarskiemu zawrót głowy. — „Również w Inflantach — mówi Loewis — jedzą mięso rysie nie tylko klasa pracująca, ale także wyższe stany, a nawet wysoko je cenią. Jest ono delikatne, porównać się da chyba z mięsem głuszca". — Mieszkańcy okolic nadamurowych równie jak przybywający do nich mongolscy i mandżurscy kupcy uważają je — według twierdzenia Raddego — jako nader smakowite, a kobiety też nie są od spożywania tego mięsa wyłączone, jak to się dzieje z mięsem tygrysiem.

Tyle o rysiu. Najwięcej szczegółów o nim podaje Brehm w znakomitem swem dziele, nie dziw więc, że głównie jego mieliśmy za przewodnika w naszej pracy, lubo skrzętnie szukaliśmy treści u innych obcych i swoich autorów, i dołączyliśmy ich podania, jakoteż naszych myśliwych. Sądzimy, iż podana charakterystyka owego drapieżnego zwierzęcia dostatecznie cechuje jego przyrodę, jego życie i obyczaje. *J. Ł.*

WSPOMNIENIA z GÓR

PRZEZ

Aleksandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Proć po tak dotkliwej karze nie zaniechał przemytnictwa, ale odtąd sam bez towarzyszów wyprawiał się po bakun, a obok tego głównem jego zajęciem było kłusownictwo. Chaty własnej niemiał, *komorował* t. j. najmował sobie kącik w cudzym domu na zimę, w lecie zaś stale przebywał w lesie. Żony nie miał, żył z jakąś mężatką, co się w górach nader często wydarza i nikogo nie gorszy, gdy mężatka prócz *lubnego* męża ma jeszcze *lubacha*, a mąż jej często nawet zamężną *lubachę*. *Lubaszkiem* lub *łubaszką* nazywają się osoby wolnego stanu mające taki stosunek. Lud górski nader jest lubieżnym, czemu się zresztą przy takiej biedzie, zwłaszcza na *donowinku* czyli przednówku, dziwić można. — Proć Baga, kiedy go poznałem, mógł mieć lat około 45, twarz miał czarną jak cygan, oko małe, czarne, jakiegoś przeszywającego wyrazu, bystre, przenikliwe, podejrzliwe, twarz ściągłą, mocno ospą zeszpeconą, wzrost średni, wysmukły, pierś, jakiej mi się drugi raz w życiu widzieć nie zdarzyło, była bowiem szeroka i wypukła jakby kirysem zaokrąglona. Pomimo postrzału w nogę, chodził po górach jak nikt w tamtych stronach. Kształt nóg cienkich z kolanami naprzód wystającemi, nie pozwalał domyślać się ich żelaznej siły i wytrwałości, o której później, gdyśmy się bliżej poznali, miełem sposobność przekonać się naocznie. Widzieć go było potrzeba, gdy zgarbiony nie szedł, ale raczej pomykał pod górę bez odetchnienia na najwyższe szczyty. Był to prawdziwy typ górskiego kłusownika.

Po owem gwałtownem odrzuceniu mnie w tył przez Józefa przy niebezpiecznej stempicy, którą on w kawałki porąbał siekierą (bez tej żaden góral z domu się nie ruszy) zachowaliśmy się przez jakiś czas zupełnie cicho śledząc wokoło, ażali gdzie nie ujszymy Procia. Jakoż mignęła się nam wnet jakaś ludzka postać na wyższej polance, domyśliliśmy się bytności Procia - kłusownika, więc co tchu wdrapawszy się na stromą górę, stanowiącą brzeg potoku, poczęliśmy skrzętnie przeszukiwać wszystkie zakamarki małej dolinki, porośniętej zrzadka olbrzymimi bukami. Nie było go nigdzie jak gdyby zapadł pod ziemię. Ujść nie mógł, bobyśmy go byli widzieli, stoimy przeto w miejscu rozważając, gdzieby się mógł ukryć, gdy wtem z wnętrza znacznie oddalonego od nas buka wyskakują pędem dwie kuny, dążąc koło nas ku przeciwnej stronie lasu. Sądząc, iż w dziuple starego buka musi być ich gniazdo z młodemi, wdradałem się na jego szczyt, sięgnąłem ręką w spód otworu, który nie był, jak się spodziewałem, wąskim, owszem tak obszernym, iż mógłbym był się spuścić do jego wnętrza, czego jednak nie uczyniłem idąc za radą Józefa, który mi bardzo malowniczo niebezpieczeństwo ztąd wyniknąć mogące w krótkich słowach opisał. W pewnej wsi tejże okolicy spuścił się do wnętrza buka ośmnasto-letni chłopak w celu wybrania kuniego gniazda, ale napowrót nie mógł się w żaden sposób do szczytu dostać, a ponieważ nikt nie był świadkiem tego wypadku, ani też słyszał jego rozpaczliwego wzywania ratunku, przeto zginął z głodu, i dopiero po upływie roku znaleziono tam przypadkiem jego szczątki. Wysłuchawszy tej wcale nie zachęcającej powiastki, poprzestałem na sondowaniu wnętrza buka ręką, o ile ona sięgnąć mogła. Dotknąłem jakiegoś przedmiotu chłodnego i wilgotnego, a wyciągnąwszy go, ujrzeliśmy kapelusz góralski z szerokiemi kresami. Z tego kapelusza naturalny wynikł wniosek, iż nikt inny w dziuple się nie ukrywa, tylko Proć. Wszczęły się układy z nim, naprzód rozkazuję, następnie proszę, by wyszedł — głucho, nic nie odpowiada. *„Co robić?* — pytam Józefa. — *„Niechno pan zlezie, ja go ztamtąd wnet wydobędę"* — odpowiada — *„strzelę do środka gawry, niech ginie ten pies"*. Gdy tych słów domawiał, spuściłem się już był z drzewa, i w tejże chwili Proć do połowy z dziupła się wychyliwszy zawołał: *„no teper strilaj!"* a równocześnie błysnęło mi coś przed oczami w stronie Józefa, stojącego o pięć kroków może od drzewa, i przemknąwszy koło niego, zaryło się w ziemię. Z przerażeniem spostrzegłem, że Proć rzucił ku niemu siekierę, ale na szczęście chybił go. Rozjadło się i tak złe jak osa szewczysko, i dodawszy sobie animuszu z pełnej manierki, strzelił ku wychylonemu kłusownikowi. Stary pijak chybił, bo Proć się schował. Wszystko to było dziełem jednej chwili. Skamieniałem prawie z przerażenia. Józef najspokojniej nabił strzelbę zajęczym śrótem, i koniecznie chciał się drapać na drzewo w celu wymierzenia trafniejszego strzału. Musiałem zapobiedz dokonaniu zbrodni, stanowczo przeto sprzeciwiłem się jego zamiarowi, borykam się z nim, w końcu widząc, iż wszelkie moje perswazye bezskuteczne, mówię od wodząc kurki dubeltówki: *„Skoro wdrapiesz się na drzewo, to cię poczęstuję śrótem tak, że pewnie strzelić nie zdołasz!"* — *„Ha! to pan broni tego szelmę, dobrze, ja sobie idę, niech się pan jego trzyma, da on panu teraz, da!* Poczem oddalił się spiesznym krokiem. Ochłonąwszy nieco z gniewu, który mną miotał, widziałem się w istotnem niebezpieczeństwie, w towarzystwie zbója, na jego łasce. Jakby na ukojenie mojej obawy odzywa się wnet głos jego z drzewa: *„Ne bijte sia panyczu !"* i w jednej chwili zsunąwszy się z drzewa, stanął przedemną. Musiałem uwierzyć jego słowom, prawdę ich wskazywały jego oczy jakiegoś dziwnie łagodnego i rzewnego wyrazu. Od tej pory datowała się nasza znajomość, a nawet pewien stopień wzajemnej życzliwości, której skutków dobrych

nieraz później doświadczyłem. Słońce wysoko już świeciło po nad ziemią, gdyśmy spocząwszy nieco u rozpalonego ogniska, pożywiwszy się, czem było, rozstali się z sobą, a ja ruszyłem do domu. Nie ma nic bardziej malowniczego, jak owe ścieżki i drożynki górskie w głębokim borze lub ponad przepaścią się snujące, co chwila zmienia się widok. Wstąpiwszy na wyższy szczyt dostrzegasz gdzieś tam daleko świetlaną smugę wężem wijącą się w dolinie, to San, od którego ta okolica wzięła nazwisko, w niektórych miejscach przerywa się ta smuga zasłonięta wyższym szczytem, to znowu jakby małe zwierciadełko lśnią jego wody. Ówdzie znowu wyzierają smukłe topole dwór szlachecki okalające, lub cerkiewka ocieniona smutnymi świerkami, a małe szybki jej okien błyszczą rażone promieniem słońca jakoby gwiazdki spadłe. A w koło cisza, a w dali, kędy okiem sięgniesz, góry i góry, wyższe lub niższe, porośnięte borami z małemi gdzieniegdzie przerwami — to polanki w połowie lub często na samym szczycie, nieraz kilka tysięcy stóp nad poziomem położone, a na nich widzisz niewyraźny jakiś przedmiot, niby gad pełzający, to wieśniak orzący rolę pod owies, który gdy wyda trzy ziarna plonu, to już urodzaj egipski. Panad głową twą krąży orzeł, pora już późna, po 10 przed południem, a on dopiero na żer wyleciał — taki już jego zwyczaj. Choć pisklęta domagają się żeru, nie wyruszy z gniazda, dokąd słońce nie osuszy jego skrzydeł zwilżonych gęsto spadającemi kroplami rosy. Nie spi od brzasku dnia, i czyści zmiętą w nocy suknię swoją, co chwila wstrząsa się, starannie układa pióra skrzydeł, ujmując je otwartym dziobem w górze i posuwając nim ku dołowi. Las pełen życia, gwaru i spiewu ptasząt, szumu drzew, szelestu potoków, przeróżnych barw światła. Oko ciała i duszy wytężone w podziwie czarujących powabów przyrody, myśl podniesiona do wyższych, nadziemskich sfer, wnika w nieskończoność potęgi Bożej. Kornie zniża się czoło wobec owych cudów przyrody i twórcy ich. Jakżeż swobodnie pierś wzdyma się, i wciąga przeczyste powietrze przesycone wonią kwiatów, ziół i drzew szpilkowych. Tu też życie prawdziwą rozkoszą, toż i lud tu inny jak w równinach, hoży, zdrowy, rosły i trzeźwy, bo mało tu nałogowych opojów. Rolnik z niego nie tęgi, ziemia nader skąpym plonem odpłaca choćby największy trud w jej uprawie, ale pasza dla bydła i owiec w niczem nie ustępuje stepowym Ukrainy, Pobereża, ani też naddniestrzańskim. Trawa po halach nie buja zbyt wysoko, ale pożywna, toż górskie bydło jak utoczone, młode jałowice i cielaki niby sarenki igrają po halawach, pobrzękając dzwonkami ze zwykłej blachy lub miedzi, więc niezbyt donośnemi. A owa muzyka ludowa doprowadzona często do prawdziwego artyzmu! Pasterz młody czy stary siedząc na odłamie skały, często z nogami zwieszonemi w bezdenną przepaść, godzinami całemi wywodzi rzewne tony z fujarki bzowej, własną ręką sporządzonej, gra, czyli raczej improwizuje, a zawsze na smętną nutę, wesołej nigdy nie słyszałem. Czasem też spiewa donośnie bez słów, i spiew swój przerywa doznając rozkoszy, gdy echo głos jego odbity o dalekie skały wielokrotnie powtarza. A z sałaszów odzywają się ponure i smętne tony *trąbity* lub *tuby*, jak ją juhasi nazywają. Zrobiona ona z cienko struganych deszczułek najczęściej bukowych, na dwa metry długości z mnóstwem obrączek łozowych opasujących ją, tworzy rodzaj długiej trąby z wąziutkim otworem, w który się dmie, kończy się zaś szerokiem gardłem. Przerażającym, ale zarazem miłym i smętnym jest głos ów tuby, a tak donośny, iż słychać go na milę wyraźnie. To prawdziwa sielanka, o jakiej mieszkańcy równin wyobrażenia mieć nie mogą, zachwyci się nią nawet człowiek najmniej do exaltacyi skłonny, a górale lubo z nią oswojeni, usłyszawszy ów głos, pogrążają się w zadumę, i z smutkiem zwieszają głowę na piersi. — Sądzę, iż na miejscu tu będzie opis sałaszów góralskich, czyli miejsc otoczonych w koło „*priasmami*“ t. j. rodzajem płotu utworzonego z cienkich deszczułek jodłowych lub świerkowych na kilka łokci długich i tyleż szerokich. Gazdowie górscy z jednej lub kilku wsi okolicznych, skoro śniegi zalegające średnie szczyty gór stopnieją, spędzają wszystkie swe owce, tak dojki jakoteż jałowe, w umówionym dniu, oddając je w opiekę gazdzie, który zwykł się tem trudnić. Gazdę tego nazywają *watahą*, i umawiają się z nim, iż od jednej dojki da im pewną ilość *miarek* (około trzech dawnych kwart) bryndzy czyli sera owczego. Wataha z przynajętymi na swój koszt parobkami „*juhasami*“, pasie te owce, strzeże, doi, i odgrzany ser zbiera ryzykując przy tem własny grosz, albowiem gdy zły rok t. j. słotny lub zimny, albo też zbyt posuszny, to nie mogąc oddać umówionej ilości sera, niedobór gotówką wedle miejscowej ceny musi zwrócić właścicielom owiec. Gdy zaś rok był dobrym, nie małe ma korzyści, długa i ciepła jesień sporo grosza mu przysparza, gdyż sprzedaje uzbieraną bryndzę kupcom, najczęściej żydom. Serwatka należy do niego w całości, tą żyje on i juhasi wraz z kilku dużymi psami owczarskimi, nieodstępnymi towarzyszami trzody. Gdy przypadkiem znajduje się w pobliżu miejsce zamieszkałe przez chorych przybyłych dla pokrzepienia zdrowia, to już wtedy wataha pan co się zowie, sprzedaje żętycę chorym, i z wszystkiego korzystać umie. Już to góral spekulant urodzony, handlarz nie dający się oszukać nawet zgrai żydów, gdy go przybyłego na jarmark nawet z kilkudziesięciu sztukami bydła w koło obskoczy, i wyzyskać i oszukać pragnie. Hodować też bydło umieją górale wybornie, toż z całego niemal kraju, a nawet z sąsiednich Węgier zjeżdżają się tu kupcy w celu nabycia bądź opasowego bądź roboczego bydła. Ale konie ich liche z wyjątkiem odrębnej rasy znanych na Pokuciu pod nazwą *huculów*. Góral zwyczajem ruskiego i polskiego chłopa nader jest gościnnym, kilkakrotnie miałem sam sposobność doświadczyć tej gościnności. Pewnego razu wyszedłem z dubeltówką na ramieniu sam bez przewodnika na zwykłą moją włóczęgę. Zbyt sobie zaufałem, jak się później pokazało, zdawało mi się, że znam dostatecznie całą okolicę. Przebrnąłem prawie suchą nogą San, który gdy wzbierze jest groźny i nie do przebycia, wtedy spienione i mętne jego fale z taką siłą i gwałtownością się toczą, iż najśmielszy góral łodzią, tam *korytem* zwaną, z grubej wewnątrz wydłubanej jodły sporządzoną, niepoważy się przebywać rzeki, ale przy średnim stanie wody z dziwną kieruje nią zręcznością. Chybką, wywrotną tą łodzią przeprawia mnóstwo ludzi i bydła na przeciwny brzeg, i nigdy prawie nie ma tam smutnego wypadku z tego powodu. Wówczas był stan wody Sanu z powodu długotrwałej suszy nader mały, a w takim razie szumi rzeka nader głośno tocząc swe wody z oporem po skalistym gruncie. Przekroczywszy rzekę i wdrapawszy się na szczyt Otrytu, ruszyłem ścieżkami, więcej przez zwierzynę jak przez ludzi wydeptanemi. Tak oddaliłem się może o trzy ćwierci mili od wsi, w której mieszkałem idąc mniej więcej znanemi mi miejscami, ale w końcu stanąłem nad niespodziewaną i nieznaną mi przeszkodą, nad głęboką przepaścią o ścianach gładkich i prostopadłych, u której spodu huczał potok toczący do Sanu swe wody. Trzeba było albo szukać miejsca do przebycia potoku lub wracać do domu, a ponieważ słońce jeszcze było wysoko, więc wybrałem pierwsze. Droga była bardzo utrudzająca, ścieżki żadnej, musiałem się przedzierać przez gęste zarośla, wspinać

po górach i przebywać mnogie parowy. Gąszcz tak był zbity, iż w końcu zbłądziłem, i żadną miarą nie mogłem się zorientować. Położenie moje nie było bardzo przyjemnem zwłaszcza, że słońce znacznie już poczęło się zniżać. Czując się bardzo znużonym, siadłem przewidując, iż nie jedną jeszcze godzinę będę musiał iść. W torbie prócz amunicyi i tytoniu żadnej żywności nie miałem, a głód dawał mi się już uczuć. Rozpaliwszy ogień siedzę, dumam, deliberuję, czy iść dalej lub w tem miejscu zanocować, i na tem zastał mnie zmrok wieczorny. W końcu postanowiłem ruszyć dalej, jakoż począłem się znowu przedzierać przez leszczynę, olszynę i srodze kolący jałowiec. Tak szedłem aż do ciemnej nocy. Ciepło było, strop niebieski iskrzył się miriadami gwiazd, na ziemi świeciły świętojańskie robaczki swem fosforycznem światłem, słowiki spiewały. To wszystko nie zachwycało mnie wcale, wolałbym był ujrzeć światło wychodzące z mieszkań ludzkich. Dalej postępować było niebezpiecznem, śród czarnej ciemności mógłbym łatwo runąć w przepaść, Wreszcie w znacznem oddaleniu spostrzegłem ognisko, zwróciłem się więc wolnym krokiem ku niemu. Szedłem zapewne kilka godzin, w końcu dobiłem się do niego szczęśliwie. Był to owczy sałasz na wyżynie nagiej góry śród pol. Opadły mnie psy, lecz jakoś obroniłem się im kosturem. Rozbudzeni ze snu wataha i juhasi sądząc zapewne, że psy oszczekują jakieś podkradające się zwierzę, poczęli szczuć, czem zachęcone psy jeszcze bardziej na mnie nacierały, aż w końcu na moje wołanie o pomoc rozpoczęło się parlamentowanie zdaleka, i zapytania: kto, zkąd, poco i t. d.? Nie łatwo mi było odpowiadać, bom gorliwie zajęty był wywijaniem młyńca broniąc się od napaści psów, z których szczególnie jeden, kosmaty, bury, ostrouchy kundel, jak się później dowiedziałem *Cykluś* najzjadliwiej się do mnie dobierał. Po dobrej chwili dopiero, kiedy mnie już siły opuszczały, pojawili się juhasi z gorejącemi głowniami, odwołali psy, poczem pan Wataha badał ściśle i przypatrywał mi się bardzo, a widząc, iż wcale groźnie nie wyglądam, lubo w poszarpanem odzieniu, pociągnął mnie za sobą do sałaszu. Wataha dobre było jakieś człeczysko, juhasi nałożyli suszu na ognisko, przyniesiono flachę z wódką, jaszczyk drewniany pełen bryndzy i olbrzymi „*oszczypek*“ t. j. placek z mąki owsianej. Czym rad był temu, niech łaskawy czytelnik wnosi z tego, że wkrótce bez pomocy towarzyszów cała zastawa była w moim żołądku próżnym. Uprzejmy wataha zapraszał mnie do swojej koliby, chaty zbudowanej z desek, w której oprócz łoża umieszczony bywa kocioł zawieszony na łańcuchu przeznaczony do odgrzewania sera. W niej także składają się *bundze*, które rozkruszone pakuje się w faski. Pomimo grzecznego zapraszania nie miałem odwagi umieścić się wewnątrz koliby, nieczystość bowiem i wstrętna woń wychodząca ztamtąd, odtrącała mnie od niej. Ułożywszy się przy ognisku, przespałem resztę nocy, a nazajutrz obudziłem się, gdy już juhasi dawno owce pognali na paszę, czego nie czynią przed oschnięciem rosy. A na usprawiedliwienie przytoczę, iż mimo znużenia długo usnąć nie mogłem z powodu hukania puhacza. Dziwny to ptak w swych obyczajach. Za dnia umyka w gąszcz, w dziupło lub rozpadlinę skalną przed lada gromadką ptasząt albo nawet pojedyńczą wroną głównie z powodu swej ślepoty śród jasności dziennej, a w nocy, istny rozbójnik, ugania za łupem, łapie większe i mniejsze ptaki spiące na konarach, i pożera wraz z pierzem, a mniejsze wcale nie szarpiąc połyka w całości. Głosem swym wabi na wiosnę samicę, latem milknie, dopiero w jesieni znowu się odzywa, gdy pisklęta już tyle urosną, że z gniazda się rozłażą, a rodzice przybywszy z żerem muszą je głosem zwoływać. Wtedyto młode bywają łowione, ale gniazda odszukać rzadko komu się zdarzy. — Zaniepokojeni krewni moi rozesłali na wszystkie strony ludzi w celu szukania mnie, ja zaś o trzy mile prawie od domu oddalony, rozpytawszy się o kierunek, w którym mam iść, znając zresztą dosyć miejscowość, ruszyłem wolnym krokiem ku domowi, a gdym już spory kawał uszedł, spotkałem Procia, który odwrócony nie mógł mnie widzieć, ja zaś bacznie mu się przypatrywałem. Przysiadł do ziemi, i zdawał się coś śledzić uważnie, wreszcie począł spiesznie rozplątywać włoki chodaków. Podszedłem ku niemu i dowiedziałem się, że upatrzył gniazdo kun na buku i ma ponie wdrapać się na drzewo. Uczynił to w istocie z kocią zręcznością i dostał się do gniazda, z którego wyjął czworo młodych, dość już sporych kuniąt. Włożywszy je w zanadrze, zchodził spokojnie z drzewa wcale tem nie zafrasowany, że go te drapieżne i dzikie bestyjki zębami i pazurami kąsały i drapały do krwi. Chciał mi ich dwoje darować, ponieważ jednak zapłaty za nie wziąć nie chciał, więc nie przyjąłem daru. Jak mi sam opowiadał później, sprzedał je w Sanoku po cwancygierze (33 ct.) za sztukę. Od owej pory nigdy już sam nie puszczałem się na takie wycieczki, najczęściej zaś z Prociem, któremu cwancygiera na dzień płaciłem, z czego był wielce rad. Proć był trzeźwym, i całą okolicę znał wybornie nie tylko po tej stronie Bieszczada, ale też po stronie węgierskiej. W miesiącu Lipcu wybraliśmy się na Połoniny. Jestto odnoga Karpat niższa cokolwiek od Bieszczadu, lecz wyższa od szczytów gór Otrytu, Magury i innych okolicznych, stykająca się bezpośrednio z Bieszczadem, stanowi granicę między Galicyą a Węgrami. Karpaty pod względem topograficznym tem się różnią od Alp tyrolskich, styryjskich i górno-austryackich, iż lubo w ogóle nie są od nich niższe, nie mają tak ostrych, skalistych zarysów, a szczyty ich są więcej dostępne, rozłożyste, ale tak jak alpejskie bezdrzewne, nagie. Podnóże pasma Połonin porośnięte gęstymi borami, z obszernemi halami, wysoką, gęstą i żyźną trawą zarosłemi, im wyżej, tem bór rzadszy, drzewa karłowate dziwnie jakoś kręto rosnące, nawet trawa rzadsza, ale jako pasza żyzna. Szczyty nagie, bez trawy, za to rościelają się wrzosy olbrzymich rozmiarów, a tak gęste, że leżącemu na ziemi dają miękkie posłanie. Do samych Połonin wsie nieprzytykają, zdarzają się jednak gdzieniegdzie małe chatki z oszwarów lub okrąglaków pobudowane, a deskami kryte, w tych mieszkają latem, starsi pasterze wołów tak zwani wiernicy. Wsie, gdy z nich tylko niektóre posiadają swe obszary na Połoninach, często o mil kilka są od nich oddalone. Handlarze, najczęściej żydzi, najàwszy części dworskie lub kmiece Połonin, wypasają tam niezliczone stada wołów i wywożą je za granicę. Osadnik wynajmuje połowę chaty swej tak zwanym „*liczmanom*“, u żydów wiernikom, nadzorcom opasowego bydła. Ogólny „*skot*“ czyli spęd bydła na paszę w Połoninach rozpoczyna się z końcem miesiąca Maja. Ogromne stada mocno wychudzonych wołów jakby szkielety pustyni z poematu Freiligratha, partyami ciągną. w Połoniny. Po kilku tygodniach cudowna następuje zmiana, owe zchudzone i spracowane bydlęta innemi się stały, spelzła szerść nabrała ciemniejszej, połyskującej barwy, wzrok przymglony błyszczy bystrym wyrazem, sterczące żebra i kości znikły i pokryły się tłuszczem, spuszczona głowa podniosła się, a wlokący się krok skory do podskoku. Taki wpływ wywarły górska pasza i krystaliczne zdroje. Połoniny to istotny skarb dla ich posiadaczy, a i dzierżawca nie hazarduje, bo zaraza na połoninach jest nieznaną, a jeśli się jakie bydle zagubi, to chyba jakimś tylko wyjątkowym wypadkiem, zabłąka

się lub wilk je albo niedźwiedź rozszarpie, a to rzadko się zdarza. W czasie mojej bytności w górach były dwa wypadki rozdarcia wołu przez niedźwiedzia. Żyd handlujący bydłem, bogacz, mając liczne stada na wypasie, lubo przybierał pański ton był tak skąpym, iż nie trzymał, jak zwyczaj i potrzeba przykazywały, liczmana wiernika, pasterzy opłacał licho i nierzetelnie. Zdarzyło się u niego, że niedźwiedź przelazł ogrodzenie koszar, wpadł do ich wnętrza, i wskoczywszy na grzbiet leżącego wołu, kilku uderzeniami przedniej łapy powalił go, uganiając po ogrodzeniu i strasząc całe stado tak, iż przełamawszy ogrodzenie rozbiegło się na wszystkie strony, i zaledwo po kilku dniach mogło być razem spędzone. Opadnięty przez niedźwiedzia wół tak mocno był pokaleczony, iż zginął po kilku dniach. Pasterze nie mogąc się doczekać przybycia żyda, obielili wołu, mięso zjedli, pozostałości wrzucili w rzekę, a skórę zachowali jako dowód wypadku. Po kilku tygodniach zjawia się żyd, wysłuchawszy sprawozdania, naturalnie nie wierzy mu, posądzając pasterzy, że wołu zabili, mięso spożyli, lub też wołu sprzedali, a jakąś inną skórą się usprawiedliwiają. Z zasług ich chciał nagrodzić sobie tę stratę. Wszelkie przedstawiania były daremne, żyd wpadł w taką rozpacz, iż myślano, że „*sia powisyt*“, a po kilku dniach odjechał. Wkrótce potem pewnej nocy wszczął się znowu hałas i ryk pomiędzy wołami, które znowu przełamawszy ogrodzenie ruszyły w las. Pasterze widząc, iż niepodobna wstrzymać rozhukanego bydła, poczęli ścigać niedźwiedzia, strzelać za nim chybiając. Gdy wrócili z pogoni widzą coś czarnego, leżącego przy ogrodzeniu. Jedni chcą strzelać, drudzy ich wstrzymują sądząc, że to niedźwiedź już nieżywy, zdeptany przez spłoszone stado. Zbliżali się powoli i ostrożnie, wreszcie jeden z śmielszych przyskoczył i poczęstował leżący przedmiot tęgim kosturem, i o dziwo, mniemany niedźwiedź zerwał się, i stał się człowiekiem, żydem, właścicielem stada. Nie mając nadziei wygrania sprawy z pasterzami w cyrkule, gdzie liczni świadkowie byliby niezawodnie przeważyli szalę na korzyść pasterzy, umyślił inaczej sobie zaradzić, uważając przeto powieść o rozdarciu wołu przez niedźwiedzia za bajkę, postanowił złapać pasterzy na gorącym uczynku, będąc pewnym, że wkrótce raz z powodzeniem dokonaną sztuczkę na nowo powtórzą. Przyczaił się więc za dnia w gęstych jałowcach, nocą zaś podsunąwszy się pod samą koszarę, czatował. Tak przeszła noc jedna, w drugiej około północy widzi, iż coś sunie wprost na niego. Był to niedźwiedź, żyd oniemiał ze strachu. Niedźwiedź mrucząc przełamał ogrodzenie, skoczył na wołu i jedzie na nim, poczem nastąpiła wzmiankowana już wyżej katastrofa. Woły rzuciły się w stronę, gdzie leżał pół martwy żyd, potratowały go, a w końcu kostur nabawił go długiej choroby.

Najgłębszemi połoninami są działy do Wetliny, Nasicznej i Caryńska należące, wsie te leżą w małem od nich oddaleniu, mają też ich cechę dzikości. W niektórych wsiach jest temperatura do tego stopnia zmienną, a raczej chłodniejszą, że z tej przyczyny, a może też innej mnie niewiadomej kosmopolityczne wierzby tam nie rosną, a wróble nader rzadko się pojawiają. Wszelkie drzewa, z wyjątkiem owocowych uszlachetnionych i dębiny, grabiny, sośniny, nie tylko na górach ale nawet w ogrodach giną, ale natomiast jodły, świerki, jasiony, olchy i jawory do olbrzymich rozrastają się rozmiarów. Naddrożną wierzbę zastępuje tam topola balsamiczna, wydająca z siebie osobliwie przy rozwijaniu się prawdziwie balsamiczną woń. Listki młode i pączki jej pokryte jakąś wonną, lepką substancyą, wabią ku sobie roje pszczół i trzmieli. Brzegi rzek zakrywa gęsto rosnąca wiklina i olszyna, samo zaś koryto, często nader szerokie, nawet za szerokie dla małego stanu wody podczas posusznego lata, która zaledwo się sączy śród głazów i ław piaskowych, porosłych gęsto podobną liściem do cyprysu rokiciną. — Zwierzyny w górach dość prócz zajęcy, tych tam nader mało, a w niektórych okolicach wcale ich niema, zające bowiem nie lubią lasów wysokopiennych, a w ogóle okolic bardzo dzikich, w których żyto ozime wcale się nie udaje, a śniegi przysypują nie tylko owies złożony w kopach, ale też jeszcze zupełnie zielony, na pniu stojący. A cóż tam góral ma z roli? Kilka korcy owsa, trochę jarej pszenicy w kartoflisku, korczyk jarego żyta i parę korcy kartofli drobno sadzonych, wydających też plon lichy, rozmiarem do włoskiego orzecha podobnych. Ot i wszystko! Głównym jego zasobem jest bydło, które przeważnie żywi sianem drobnem jak jedwab, a wonnem jak herbata, pożywnem przytem i zdrowem dla inwentarza, który niemal z ojcowską troskliwością pielęgnuje i hoduje. Lud w dolinach mieszkający, bardzo względny dla zwierząt domowych. Proszę się przypatrzyć temu patryarchalnemu stosunkowi górala do zwierząt, które mu niosą pomoc w pracy, lub dostarczają zasobów dla codziennego życia. Od wołu począwszy aż do psa domowego wszystkie one dzielą z nim rozkosze pożniwne jako też niedolę przednowku „*donowinków*“, niedoli, o jakiej mieszkańcy żyznych okolic nawet wyobrażenia mieć nie mogą, u nich ona chwilowym gościem, w górach nieodstępną prawie towarzyszką. Najgłówniejszem ich pożywieniem — owies, a i tego często brak. — Zaledwo kury obwołają zwiastujący się świt, już we wszystkich *hyżach* poczyna się ruch. Młodzież płci obojej przędzie len przy żółtem świetle łuczywa, gazda krząta się koło dobytku, do każdej sztuki zosobna coś przyjaznego lub niechętnego przemawiając, a gazdyni miele owies nocą na przypiecku wysuszony na żarnach w jednym kącie izby ustawionych. Z mąki tej warzy gazdyni „*czyr*“, którem słowem niesłusznie mieszkańcy równin mianują próchno bukowe. Mąka na czyr przeznaczona przesiewa się przez gęsty przetak, zbierając skrzętnie ości czyli wysiewki do „*słomiennika*“, rodzaju kadzi z wałków słomianych prętami wiklinowymi z sobą spojonych sporządzonej. — Ości te zbierają przez jesień i zimę całą, by je na przednowku dodawszy nieco owsa, na żarnach zemleć i wypiec chleb. W takiej nędzy żyje góral z pokolenia w pokolenie, a jednak zdala od gór tęskni za niemi, żołądek jego do postnej i lichej strawy przywykły, chorzeje, gdy mu dostatniejszą i sytniejszą żywić się wypadnie.

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Lisowice, 16 Października 1880.

Na tegoroczne jesienne polowanie w Lisowicach, odbyte w pierwszych dniach Października, zebrało się bardzo nieliczne grono. Przybyli tylko prezes, wiceprezes, sekretarz i intendent Towarzystwa. Wszyscy członkowie zaś usprawiedliwili się to chorobami, to ważnemi zatrudnieniami, i niebyło ich niestety. Zdawałoby się, iż nasze Towarzystwo jest jakiemś ciałem autonomicznem, które zwołano na posiedzenie Rady powiatowej, a nie stowarzyszeniem myśliwych z krwi i kości zaproszonych na łowy. Z tak słabym kontyngentem trudno było w rozległych naszych borach do wielkiego doprowadzić rezultatu. Pomimo tego nieliczne nasze grono uczyniło co mogło: Polowano oczywiście wyłącznie na ptaki, i rzadko spotykano

się tylko z innym zwierzem, brano bowiem po największej części mioty w krzakach i okrajkach, nie zapuszczając się w głębokie lasy. Ciąg słonek chybił w ogóle w całym kraju, jak dalece prawdziwe są doniesienia, które nas z różnych stron dochodzą. I tu nie był on zbyt świetnym, chociaż kilka razy spotkaliśmy poważny zastęp tyle pożądanych wędrowców długodziobów. Prawdziwą rozkosz sprawiła jednak myśliwym niezwykła ilość jarząbków, którąśmy tego roku w tutejszych rewirach zastali, oraz ilość sarn, która się także wzmogła nadzwyczaj. Mimo 44 rogaczy zabitych tu na tegorocznem zimowem polowaniu przekonać mogliśmy się codziennie, że stan sarn powiększył się znacznie. Motylica, która w tylu rewirach w naszym kraju ród sarni zdziesiątkowała, na szczęście nie dotknęła sarn w Lisowicach.

Rezultat polowania naszego następujący: 1 dzik, 2 rogacze, 15 zajęcy, 1 kuna, 1 cietrzew, 19 jarząbków, 41 słonek, 2 jastrzębie.

O ile cyfra ta świetniej byłaby wyglądała, gdyby choć część naszych Towarzyszy była nam dopisała w tym roku.

Są widoki, że zimowe tegoroczne polowanie w Lisowicach równie świetnie, a może świetniej jeszcze niż zeszłoroczne wypaść powinno, bo przy znacznej ilości drobnego zwierza, dzików jest wiele w tutejszych rewirach i w okolicy.

Niedźwiedź nie zrobił nam tak miłej niespodzianki jak w zeszłym roku, i nieraczył zejść w nasze doliny. Popsuty ten Sybaryta delektuje się jeszcze w swoich górach malinami, ożynami, i innemi jagodami, które nadzwyczaj obficie tego roku w górach zrodziły. — Żadnego dotąd na tutejszem podgórzu jeszcze nie spotkano. *L. S.*

Będąc pewnym, iż tem czynię przysługę naszym myśliwym, podaję do wiadomości kilka ciekawych wypadków z polowań na niedźwiedzie, które się wydarzyły przed kilku laty w Spasie nad Czeczwą, w powiecie Dolińskim.

W r. 1863 przy końcu Września dano znać mojemu leśniczemu, mieszkającemu w Spasie, że w lesie „Pohary" zwanym, od granicy państwa Rożniatowskiego, pojawiły się dziki. Leśniczy zabiera z sobą bez zwłoki jednego starego, doświadczonego myśliwego, dwa psy na dziki dobrze ułożone, i idzie granicą ciągnącą się wzdłuż grzbietu góry Pohary, której pochyłość wschodnia należy do państwa Rożniatowskiego a porośniętą jest buczyną i gęstą laszczyną, pochyłość zaś zachodnia tworzy las szpilkowy, należący do państwa Spaskiego jako własności funduszu religijnego. Przybywszy do lasu Spaskiego Pohary, puszczają myśliwi sworę psów, sami zaś stają na granicznej linii. W krótkim czasie poczęły psy naszczekiwać na uboczy lasu Rożniatowskiego. Stary myśliwy poznał po głosie, że to nie dziki, lecz niedźwiedź, pozostawiwszy więc leśniczego na granicy, bieży w dół, ale na kilka kroków od psów pośliznął się na zwietrzałym łupku i upadł, a drobne kamyki toczyły się z pod jego nóg ku krzakowi, za którym psy naszczekiwały. Po chwili wypada z niego niedźwiedź, ale myśliwy leżąc na ziemi strzelić doń nie mógł, a zerwawszy się biegnie w górę. Tam stał leśniczy ubrany w kożuszek z czarnych baranów, przewrócony futrem na wierzch z powodu drobnego deszczu, sam niejako do niedźwiadka podobny. Niedźwiedź wyparty z krzaka idzie wprost na leśniczego, który widząc pierwszy raz w życiu w lesie niedźwiedzia, w największych susach ku niemu na sztych pędzącego, bardzo się przeraził, skoczył o kilka kroków w bok i stanął przy gęstym krzaku spuściwszy strzelbę. W tej chwili pojawił się przed nim niedźwiedź, siadł mu prawie przed lufami tak, że nawet strzelby nie mógł podnieść, wpatrywał się w niego, a język zwiesił na spodnią wargę jakoby chciał drwić. Leśniczy wystrzelił kulą trzymając strzelbę przy boku, ale widocznie spudłował i tylko prochem mu w nos zakadził, poczem niedźwiedź skoczył przez krzak, a leśniczy strzelił za nim z drugiej lufy lotkami, i mocno go w kark skaleczył. Psy poszly za nim przez lasy Spaskie aż do rzeki Czeczwy, zkąd juchą mocno pofarbowane wróciły do myśliwych, niedźwiedź zaś przeszedłszy przez rzekę i las Spaski dostał się nazajutrz w ręce myśliwych w rewirze kameralnym Łopianeckim, czy już martwy, czy też jeszcze strzałami dobijany, o tem nie mogłem się dowiedzieć.

W roku 1864 było w Spaskim rewirze kilka niedźwiedzi, które po nocach wielką szkodę w owsach robiły, za dnia zaś po lesie się włóczyły. Wyszedłem z tym samym starym myśliwym, leśniczym i dwoma gajowymi na tak zwany „Wysoki Werch", w rewirze Spaskim, zabrawszy z sobą dwa psy gończe, ale nie owe, przed którymi kilkadziesiąt dzików ubiłem, lecz jakie mi się w chwili nadarzyły. Posłałem gajowych z psami do szerokiego parowu, ciągnącego się między dwoma wysokiemi górami, w którym parowie miał być gruby niedźwiedź, nakazawszy im, aby wzdłuż tego parowu szli, psy puścili i odzywali się. My stanęliśmy na drodze lasowej, przy uboczy Wysokiego Werchu, o sto kroków jeden od drugiego. Nim jeszcze w parowie gajowi i psy się odezwały, wyszedł galopem ogromny niedźwiedź wprost na starego strzelca, stojącego przy grubym buku, siadł przed nim na drodze w odległości najwięcej dziesięciu kroków z wystawionym językiem. Myśliwy wymierzył w otwartą paszczę, ale na nieszczęście kłapie, naciąga więc drugi raz kurek (miał pojedynkę), ale kłapie znowu, wtedy niedźwiedź pomknął ubocza góry ku mnie, a stary strzelec woła: „Pilnuj! niedźwiedź!" Wytężając wzrok patrzę po uboczy przed sobą, ale w gąszczu i łomach nic nie widzę, słyszę jednak trzask jakoby złamanej gałęzi, domyślam się, że mnie niedźwiedź mija i pędzi na brzeg lasu, podskoczyłem więc w tym kierunku i widzę, jak niedźwiedź pędzi na sztych ku mnie lasem pod górę. Zbliżywszy się może na 70 kroków i spostrzegłszy mnie, zwraca się w bok, w tejże chwili, nie mając czasu do rozmysłu, strzelam, poczem niedźwiedź ryknął jako znak, że był trafiony, i zwrócił się w największym pędzie na dół ku parowowi i potokowi. Na odgłos strzału nadbiegły psy i zatrzymały niedźwiedzia przy potoku, nim jednak myśliwi przez gąszcz z wysokiej góry do potoka dotrzeć mogli, uszedł niedźwiedź na drugą górę, a zapadający zmrok nie dozwolił prześladować go, lubo psy naszczekiwały i na uboczy go przytrzymywały. Nazajutrz szukaliśmy go bez skutku. Po czterech tygodniach spadł świeży śnieżek, i wskazał, że niedźwiedź przeszedł ze spaskiego do sąsiedniego lasu, gdzie gajowy wytropiwszy go dał znać myśliwym, którzy otoczywszy go w małym kawałku dobili wraz z warchlakiem, za którym niedźwiedź szedł. Od owych myśliwych dowiedziałem się, że mój strzał przeszył mu gardło, nie mogąc przeto przez cztery tygodnie żerować, wychudł strasznie i zędzniał.

Tego samego roku, w późnej jesieni polowałem pod tym samym Wysokim Werchem od strony południowej z trzema psami na niedźwiedzia. Było myśliwych czterech, rozstawiliśmy się na drodze lasowej ubocza góry się ciągnącej, a ja miałem stanowisko pod grubą jodłą od wiatru w wysokości czterech sążni przełamaną, pod którą usiadłem. Wkrótce począł jeden pies gonić, sądziłem że rogacza, więc siedziałem spokojnie trzymając strzelbę na kolanach. Ponieważ pies przestał gonić, rzuciłem okiem w ową stronę i spostrzegłem głowę niedźwiedzia między łomem, nie ruszyłem się z miejsca myśląc iż może

niedźwiedź na mnie wyjdzie, ale wtem pies się odezwał, więc nie mając czasu do stracenia, nie podnosząc nawet strzelby do ramienia strzeliłem. Kula, jak się potem pokazało, oderwała kawałek skóry, który znalazłem, a niedźwiedź się odwrócił. W tej chwili strzeliłem poraz drugi, i trafiłem go w samą komorę, poczem skoczył w gęstą, młodą jedlinkę, gdzie stojącego pies atakował. Wołam na gajowego w pobliżu mnie stojącego, aby go dobił w jedlince, jeżeli jeszcze żyje, ale on nie miał odwagi wejść w nią. Nabiwszy strzelbę wchodzę sam w jedlinę, ale tak gęstą, iż niepodobna było się przecisnąć, musiałem przeto wrócić, chciałem obejść przez potok, ale wlazłem w moczar po kolana, a nim znalazłem kawał patyka, na którym się opierając mógłbymbył potok po śliskich kamieniach przekroczyć, już niedźwiedź wraz z psami mnie wyprzedził i przeszedł granicę, a ja musiałem na niej przy świeżym tropie z mymi towarzyszami pozostać. Psy niedaleko w kameralnym lesie przestały gonić, i wróciły do nas, a za nimi dwaj pobereżnicy w celu niedopuszczenia nas do lasu kameralnego, gdzie już leśniczy stał przy trupie niedźwiedzia. Posłałem do niego prosząc przynajmniej o kawałek mięsa dla psów, ale kazał powiedzieć, że niedźwiedzia nie ma, a nazajutrz przyszedł do mnie chłop zapewniając, że na wrotach przy domu leśniczego już suknia niedźwiedzia rozpięta.

W jesieni, jeżeli dobrze pamiętam roku 1874 byłem zaproszony na polowanie z obławą na wilki w lesie Łopianeckim, graniczącym z rewirem Spaskim. Rozstawiono nas na linii u brzegu grubego lasu, a przed nami był kilkunastoletni gęsty zrąb, w którym miały się znajdować wilki. Gdy obława ku nam ruszyła, zamiast spodziewanych wilków wypada z gąszczu niedźwiedź, i przechodzi w pędzie na kilka kroków odemnie. Strzeliłem, i jak się później okazało, przeszyłem mu na wylot płuca, mimo to farbując z obu stron zeszedł jeszcze z góry, i na dole padł trupem. Pobereźnik pobiegł za nim, a widząc go pod górą leżącego bez życia, wrócił do nas przestrzegając, abyśmy za niedźwiedziem nie szli, bo tam skały nie do przebycia, a niedźwiedź przeszedł w las Iłemski. Niektórzy uwierzyli, ale ja znając wybiegi i kłamstwa pobereżników, byłem prawie pewny, że niedźwiedź gdzieś niedaleko leży nieżywy, co się też nazajutrz sprawdziło. W tydzień spotkałem w Bolechowie chłopa z niedźwiedzią skórą, a na zapytanie, zkąd ją ma, i dokąd niesie, odpowiedział, że z Łopianki do Stryja do wyprawy.

Miałem tę wielką przyjemność spotykania się dość często z niedźwiedziami, i zawsze bez przypadku, bom zawsze zachował zimną krew i ostrożność, a niedźwiedzia nigdy nie drażniłem. Lubo kilka niedźwiedzi zabiłem, miałem jednak to nieszczęście, iż musiałem zawsze z bolem serca przywoływać sobie do pamięci słowa Wirgiliusza: *Hos ego versiculos feci, tulit alter honores*", które z żalem tłumaczę:

Jam owe niedźwiedzie ubił,
Suknią ich inny się chlubił!

W Październiku r. 1879 szedł chłop z Łopianki do Doliny gościńcem, i wypadła mu potrzeba zejść z niego w krzaki. Gdy rów przeskoczył, wypadł z laszczyny niedźwiedź i przeraził ogromnie chłopa, który po chwili ochłonąwszy nieco ze strachu poszedł w to miejsce, zkąd niedźwiedź wyskoczył i znalazł tam piastuna z nadszarpanym zadem, z postrzałem w karku, już martwego. Zdaje się, że niedźwiedzica szła za postrzelonym, a zbliżywszy się doń i pragnąc go do życia rozbudzić, tak go pazurami nadszarpała, niepodobna bowiem przypuścić, iżby go żarła.

Tej zimy ubił mój leśniczy w Spasie nad Czeczwą, w powiecie Dolińskim z jednym pobereżnikiem i dwoma małymi pieskami jednego odyńca, dwie samury i 13 warchlaków, a 6 lisów struł. *Ks. Franciszek Berwid.*

Siechów (koło Stryja), 1 Października.

Lżej na sercu, gdy w utrapieniu wynurzyć się można z żalem wobec przyjaciela, to też pragnąłbym z Łowcem podzielić mój smutek.

W sprawozdaniu z rezultatu polowań, umieszczonem w zimie w kolumnach „Łowca" przepowiadałem, iż nie świetne będą rezultaty polowań w tym roku, jakoż sprawdziła się niestety moja przepowiednia, sarn bowiem w naszych okolicach mało, a zające wyginęły prawie do szczętu. Sarny i zające padły ofiarą motylicy w skutek mokrego zeszłego lata, a choroba ta nie tylko w zwierzynie ale też w bydle wielkie zrządziła szkody. Wielka to klęska niezawodnie, w latach jednak korzystniejszych da się owa szkoda powetować, ale o wiele trudniejsza sprawa z kłusownikami, których w naszym powiecie zawsze mieliśmy wiele, a dziś niezawodnie utworzy się cała ich armija w skutek mylnego zapatrywania się u nas Władzy politycznej na Ustawę biorącą w obronę myśliwstwo. — W ostatnich dniach zeszłego miesiąca odbyły się w naszym powiecie licytacye na polowania gminne na mocy Ustawy z d. 7 Marca 1849 roku. Ustawa sama jest taką, iż przy miernie dobrych chęciach powinien zwierzostan w naszym kraju bardzo się podnieść, niestety nie zawsze bywa ona dobrze zrozumianą i przestrzeganą. Stryjska Władza polityczna powodując się zapewne głównie zasadą równouprawnienia, nie chce zrozumieć, iż włościanie, kowale, stelmachy i t. p. indiwidua wcale się nie przyczyniają do podniesienia w kraju łowiectwa, a nawet nie pozwalają zachować *status quo*. Przy licytacyach każdy posiadacz większych obszarów lub zwolennik racyonalnego łowiectwa twardą musiał stoczyć walkę z powyższymi adeptami systemu bezwzględnego tępienia zwierzyny, nim mu się udało przemódz ich. Paragraf trzeci Ustawy mówiący o użytkowaniu z prawa polowania brzmi: „Na dzierżawcę polowania przypuszczonym może być tylko ten, przeciw któremu w tej mierze nie ma żadnego zarzutu". Paragraf ów tak cenny dla rozwoju łowiectwa nie zrozumiała tutejsza Władza polityczna tak, jak go zrozumieć była powinna. Prawnikiem nie jestem, uprawiam rolę a w wolnych chwilach, w dozwolonej porze, oddaję się łowiectwu, może źle sobie tłumaczę dążenie tego paragrafu. Dla mnie ustęp paragrafu: „przeciw któremu nie ma w tej mierze żadnego zarzutu" nie inne może mieć znaczenie jak tylko: „o którym można mieć przekonanie, że nie przekroczy Ustawy o prawie polowania, owszem będzie się starać podnieść łowiectwo, jako część majątku krajowego". Wszakże włościanom i tym podobnym osobistościom, którym tutejsze c. k. Starostwo pozwoliło stanąć do licytacyi i utrzymać się przy prawie polowania, najniezawodniej można uczynić zarzut, że są kłusownikami, o czem zresztą i owo c. k. Starostwo jest przekonane. Tym sposobem Władze upoważniają kłusowników do swobodnego wykonywania swego rzemiosła, i większą przynoszą łowiectwu szkodę, jak motylica.

W ostatnich pięciu latach dzierżawiłem prawo polowania na jedynastu obszarach gminnych w dwóch sąsiednich powiatach, czyniłem to nie dla polowania lecz raczej w celu uwolnienia się od amatorów mojej własności czworonożnej w lasach. Przy tegorocznych niezgodnych z prawem licytacyach odpadło mi kilka gmin, nie mogłem bowiem bez uszczerbku mego mienia konkurować z stowarzyszonymi kłusownikami. Włościanie

myśliwi, kilku lub kilkunastu składają pewną kwotę, wysyłają jednego na licytacyę z poleceniem, by za jakąkolwiek cenę, nawet najwyższą, wydzierżawił prawo polowania. Robią oni zawsze bardzo korzystny interes, bo Starostwo złożone pieniądze oddaje gminie, która rozkłada je na pojedyńczych członków w stosunku do rozległości posiadanego gruntu. Tym sposobem gmina, czyli raczej jej prewodyrowie - kłusownicy utrzymują się przy prawie polowania, które ich nic nie kosztuje. O Waffenpass żaden z nich ani myśli się starać, na to bowiem mają dosyć sprytu, aby rzadko kiedy pojawiającym się żandarmom oczy zamydlić lub przed nimi się skryć. Jakie ztąd skutki wynikają, nie potrzebuję wyjaśniać. Że tak istotnie się dzieje, niechaj świeży fakt udowodni. Dziś przed napisaniem tej korespondencyi, powracając do domu z sąsiedztwa, widziałem w sąsiedniej już gminie chłopa, takiego dzierżawcę, ze strzelbą w ręku. Nic mu nie mogłem uczynić, bo c. k. Starostwo mianowało go urzędownie kłusownikiem i dało mu przywilej wybijania wszystkich sarn, jakie z lasu na żer wychodzą. Mam nadzieję, że szan. Wydział Tow. łow. poprze skutecznie zażalenie wniesione przezemnie do c. k. Namiestnictwa, które, nie wątpię o tem, nie zaniedba pouczyć tutejsze Starostwo, jak ma być rozumianą Ustawa o prawie polowania, i kto właściwie dzierżawcą być może.

Karol hr. Dzieduszycki.

W Nrze 8 „Łowca“ z d. 1 Sierpnia 1880 r. w punkcie 5tym obrad posiedzenia Wydziału Tow. łow. uchwalono wezwać czytelników „Łowca“ do objawienia zdania co do tępienia lub ochraniania lisów.

Że tępienia lisów Ustawą zalecać nie potrzeba, dowodzi najlepiej niezliczona ilość lisiurek u żydów w każdem mieście i miasteczku, oprócz żydów u mieszczanek, a u szlachty również nie jedna się znajdzie. Pada corocznie znaczna liczba lisów za pomocą trutki, żelaz, cewek, chartów i strzelb, gorliwości więc w tępieniu nie brak, i nie potrzeba większej zalecać, a wartość skórek z zabitych corocznie lisów jest bardzo znaczna.

Ochraniać Ustawą lisa także nie potrzeba, bo lis sam się chroni w porze, kiedy skóra jego nic nie warta, w lecie i wczesnej jesieni t. j. do św. Michała nikt ani na zające ani na lisy nie poluje, a jeśli kto przypadkiem przed św. Michałem ubije lisa, to nie ma w tem żadnego uszczerbku w ogólnej sumie ubijanych lisów. Orły, sępy, jastrzębie i sowy więcej wytępiają zwierzyny i ptactwa, jak lisy, a przetem gdzieżto przebywają lisy? — w lasach obszarów dworskich i w górach. W górach kontrola kłusownictwa z powodów czysto fizycznych nie możliwa, a w lasach dworskich sami właściciele, ich nadleśniczowie i leśniczowie dbają, aby w rewirach nie było zbyt wielu szkodników.

Od wiekow istniały lisy i lisiurki, a i zwierzyny było podostatkiem, dziś ubyło lisów, ale też ubyło innej zwierzyny i ptactwa. Nie lis więc, lecz człowiek jest dla zwierzostanu szkodliwym, dzisiaj każdy prawie wieśniak ma strzelbę, osobliwie tu pod górami, a chłop myśliwy gorszy od wilka i lisa. Nie ma więc potrzeby nakazywać tępienia albo ochrony lisa ze względu na gospodarstwo rolne, bo lis bardzo małą rolę odgrywa na łanach i niwach.

Co do kart myśliwskich śmiesznem jest wymaganie, aby właściciel prawa polowania, a tym jest każdy większy posiadacz, potrzebował pozwolenia do ubicia swojej własnej zwierzyny. Inna rzecz co do amatorów polowania, którzy nie mają szczęścia posiadania 200 morgów, a takich amatorów jest bardzo znaczna liczba. Polowanie jest rozrywką kosztowną, więc taki amator pragnie ubić jak najwięcej zwierzyny, aby mu się wróciły koszta, zresztą mogą go przenieść gdzieindziej, pocóż mu ochraniać zwierzynę! Byłbym zatem, aby właściciele prawa polowania nie potrzebowali nabywać kart myśliwskich, inni zaś żeby płacili rocznie 20 guldenów za kartę myśliwską, a oprócz tego, aby nikomu, kto nie opłaca karty myśliwskiej, nie wolno było posiadać strzelby, jak długo bowiem posiadanie strzelby jest dozwolone, kłusownictwu tamy położyć nie można. Dla osobistej obrony dostateczne są rewolwer i pistolety mniejszego kalibru.

Guldenów uzyskanych za karty myśliwskie należałoby używać jedynie na premije za ubite wilki, niedźwiedzie, orły, większe sępy, sowy, sokoły i dzikie koty (czem, gdy tylko więksi posiadacze i bogaci dyletanci będą posiadać strzelby? *P. R.)*, tudzież za zchwytanie lub wiarogodne wskazanie kłusownika. Będą wprawdzie sarkać tak zwani *Sonntagsjägery* i strzelcy „*par excellence*“, którzy niechętnie zapłacą 20 złr. rocznie, lecz zające i kuropatwy drwić będą z tego sarkania.

Motywując w ten sposób wysoką opłatę za karty myśliwskie, dodaję, iż gdy właściciel obszaru dworskiego (przypuśćmy na przestrzeni 1000 morgów, jedni bowiem mają mniej, drudzy więcej), ma sam jeden prawo polowania; dla czegóż na obszarach gminnych, które na równej ilości morgów nie mogą mieć ani połowy tego zwierzostanu, jaki posiada większy właściciel, ma być znaczna liczba amatorów do wybijania zwierzyny i ptactwa?

A więc wraz z wielką taksą zmniejszy się ilośc myśliwych, a ci, którzy ją opłacać będą, nie wytępią pewnie zwierzyny, tak jak większy właściciel nie wytępia jej w dobrach swoich.

Dla pocieszenia tych, którzy nie będą posiadali kart myśliwskich, niechby intelligencyi, ale tylko w miastach wolno było posiadać strzelby na podstawie uzyskanego *Waffenpasu*, aby ona w razie zaproszenia przez właściciela prawa polowania lub dzierżawcę obszaru gminnego posiadającego kartę myśliwską, mogła się kiedy niekiedy zabawić polowaniem, a już rzeczą będzie właścicieli prawa polowania i dzierżawców strzedz, aby nieposiadajacy kart myśliwskich nie polowali, chyba gdy będą zaproszeni. Naturalnie dzierzawić prawo polowania na obszarach gminnych mogą tylko posiadający karty myśliwskie, a każdy przychwytany ze strzelbą nieposiadający karty, uważany być powinien za kłusownika.

Tym tylko sposobem polowanie wejdzie na dawniejsze tory, inaczej liczba myśliwych będzie wzrastać, a obszary gminne staną się co do zwierzostanu *tabula rasa.*

Pisze to były posiadacz prawa polowania, a dziś czytelnik „Łowca“, nie może on zatem być posądzonym, że pisze *pro domo sua.*

Najlepsza ustawa łowiecka nie pomoże, gdy będzie wielka liczba myśliwych, a jeszcze większa kłusowników, tylko wysoka taksa dla myśliwych i zakaz posiadania strzelby — oto jedyne środki wiodące do pożądanego celu. *Ostoja.*

P. R. Zbyt bezwzględnym, jednostronnym jest wniosek sz. *bezimiennego* korespondenta, przeto nie wiele przyczynić się może do rozstrzygnienia sprawy. Odpowiadać mu nie chcemy, bo w tym względzie wyręczyły nas już inne korespondencye, umieszczone w poprzednich numerach „Łowca“.

KRONIKA.

Wetlina, 20 Września 1880.

Dnia 16 b. m. przybył JW. hr. Henryk Konarski wraz z gościem swym Wnym Adamem Fedorowiczem na rykowisko jeleni do do Wetliny. Jeleni jak zwykle w tej porze było tutaj bardzo wiele. Koło kołyby, w której panowie nocowali, można było nadedniem i w nocy nawet pięć naraz ryczących jeleni słyszeć. W południowej porze, właśnie gdy panowie przed kołybą po nocnych wyprawach spoczywali, przeszedł piękny jeleń polanką na mniej więcej 1000 kroków, spokojnie przypatrując się myśliwym, dla których oddalenie było jednakże przeszkodą nie miłą.

Dnia 18 zbudzony rykiem jeleni pan Adam Fedorowicz wyszedł już o godzinie drugiej w nocy przy jasnem świetle księżycowem, poprzedzony dwoma przewodnikami, i udał się w część lasu zwaną „Solinki" na górę „Szypowate", pół mili od granicy węgierskiej.

O godzinie czwartej rano usłyszeliśmy jeszcze przed brzaskiem dnia strzał jeden. Był to dotychczas pierwszy, ponieważ z powodu wielkich trudności położenia niepodobieństwem było w pierwszych dwóch dniach podejść jelenia. Jakież było jednak nasze zdziwienie, gdy po chwili dowiadujemy się, że nasz gość strzelał do niedźwiedzia. Okazało się, że pan Fedorowicz słysząc niedaleko już ryczącego jelenia, zostawił swych przewodników, i zaczął sam go podchodzić. Uszedłszy kilkadziesiąt zaledwie kroków, usłyszał łomot i ujrzał wypadającego niedźwiedzia, do którego strzelił na 16 zaledwie kroków. Po strzale niedźwiedź ryknął, i znikł w krzakach. Przewodnicy odradzili dalszych poszukiwań, i postanowiono czekać białego dnia. O godzinie 6 zrana udaliśmy się wszyscy za śladami mocno ranionego zwierza. Uszedłszy może 2000 kroków po ogromnych parowach, spostrzegł pan Fedorowicz na jakie kilkanaście kroków poniżej w potoku niedźwiedzia, który na widok myśliwych mocno zaryczał, i wspiął się na tylnych łapach. Pan Fedorowicz w tej samej chwili powalił rozjuszoną bestyę celnym strzałem, który ją przeszył na wylot poniżej piersi. Pomimo tego niedźwiedź jeszcze się zerwał, i dopiero trzy następne celne strzały naszego myśliwego dobiły go. Była to wielka niedźwiedzica z gatunku „wolarzy", które nam tutaj w bydle bezkarnie wielkie wyrządzają szkody. Pierwszy strzał trafił w komorę, jedna zaś kula przeszyła serce. Ulewny deszcz i okryta mgłą połonina „Rawki", przepowiednia stałej słoty, były powodem, iż z bolem serca musieli Panowie zaniechać dalszych łowów. Przy odjeździe jeszcze towarzyszył nam ciągle głos ryczących jeleni.

Ludwik Wolner, dzierżawca dóbr Wetliny.

Łuczyce, 2 Października.

W „Łowcu" czytałem sprawę wytoczoną rusznikarzowi lwowskiemu p. Tabaczkowskiemu. Nie miła to rzecz odnosić się z taką sprawą aż do drogi publicznej, lecz może jedyna w celu ostrzeżenia współobywateli wobec wyzyskiwania ludzi nieuczciwych. Nie znam p. Żurowskiego, jestem mu zupełnie obcy, nie popieram więc jego sprawy, lecz spełniam mój obowiazek dołączając uwiadomienie, że ja również miałem sposobność przekonać się o niesumienności p. T. Dałem mu strzelbinkę lekką, starą ale z bardzo dobremi lufami, aby u niej naprawił kominki. W ciągu 10 miesięcy nie mogłem jej odebrać. Sam i przez kilka osób przezemnie do odbioru upoważnionych, upominałem się o nią naprożno, wreszcie zaprzeczył p. T., jakoby kiedykolwiek odemnie jaką strzelbę do naprawy otrzymał. Na szczęście miałem świadków obecnych w sklepie, gdy strzelbę p. T. oddawałem. Nakoniec zagrożony policyą i procesem zwrócił mi moją strzelbę. Podaję fakt, którego p. Tabaczkowski zaprzeczyć nie może. *T. Rozwadowski.*

Uładówka (Podole ros.), Sierpień.

Bębnienie kszyka. Sz. korespondent S. O. dowodzi w Nr. 5. „Łowca t. r., jakoby bębnienie kszyka pochodziło z organów głosowych, które wydawać ma siedząc wysoko na drzewie. Że kszyk w porze gnieżdżenia się okrążając miejsce wylęgu siada na drzewach w pobliżu tegoż znajdujących się i wydaje głos, to często na błotach i jeziorach wśród lasów okolic tutejszych, gdzie kszyk swoją generacyę wywodzi, widzimy i słyszymy, nigdy jednak nie zdarzyło mi się w ciągu moich długoletnich spostrzeżeń widzieć kszyka bębniącego na drzewie. Bardzoby było pożądanem, gdyby sz. korespondent przekonywającymi dowodami poparł swoje twierdzenie, nim to jednak nastąpi, wypada nam pozostać zwolennikami teoryi profesora Altuma, a opierając się na licznych własnych i cudzych doświadczeniach, musimy być tego przekonania, że głos kszyka, zwany bębnieniem *(Meckern)*, wywołuje silna wibracya powietrza przepuszczonego między loty złożone trochę, gdy się kołysząc na dół spuszcza, a opierającego się na rozwartym ogonie.

M. H, nadleśny hr. Rom. Potockiego.

Sprawozdawca „Gazety nar." z etnograficznej wystawy w Kołomyi pisze: „Komitet z zamiłowaniem i znakomitem znawstwem przedstawił trofea i przybory myśliwskie. Kołomyjskie stanowi i dla myśliwych ziemię obiecaną, znajdują się tam bowiem najznakomitsze i najrzadsze gatunki zwierzyny, mianowicie niedźwiedzie, jelenie, rysie, nie wspominając już o wilkach, dzikach i innych czworonogich. Zamiłowanie myśliwstwa stanowi jednę z cech charakterystycznych ludu tamtejszego, i do dziś żyją tam jeszcze pomiędzy hucułami typowe postacie myśliwych. Oto np. taki Wasyl Wowczuk z Hryniawy, który sztuciec swój nosi każdej Wielkanocy razem z paską do cerkwi do poświęcenia — czy zdarza się często w dzisiejszych czasach? Łowy na niedźwiedzia są dla niego świętem, do którego przygotowuje się z głębokiem nabożeństwem poszcząc i modląc się. Zabił on już 30 niedźwiedzi, a skóry dostarczone przez niego stanowią najpiękniejsze trofea myśliwskie na wystawie kołomyjskiej.

Jasionka, 22 Października.

Dzięki gorliwemu prześladowaniu kłusowników przez energicznego c. k. Starostę Wgo Jakubowicza w Tarnobrzegu i dzięki gorliwemu ochranianiu i pielęgnowaniu zwierzyny przez kilku wzorowych myśliwych, może się okolica ujścia Sanu do Wisły, mimo tegorocznych wylewów, poszczycić pięknym stanem zwierzyny. W dniach 14 i 15 b. m. polowaliśmy w 12 strzelb u pana Bogusława Horodyńskiego w Zbydniowie i u p. Henryka Dolańskiego w Grębowie. Ubito 57 zajęcy, 12 rogaczy, 6 lisów, 4 słonki, 2 kuropatwy i 1 dzika, trzechletniego wycinka, którego celnym strzałem pan W. S. na miejscu położył. *S. J.*

Cielęż koło Sokala.

Posyłam do „Łowca" wiadomość, jak mi się w tym roku z bażantami powiodło. Sprowadziłem był w Marcu t. r. 10 kur i 2 koguty, doszły zdrowo i szczęśliwie na miejsce i zaraz umieściłem je w szopce na ten cel zbudowanej na niewielkiej łączce, okolonej dwudziestopięcio morgowym obszarem łoziny krzaków i kilku klombów wysokiej dębiny. Miejsce było dla nich bardzo stosowne, bo w znacznej odległości od innych lasów, spokojne i obfitujące w wodę. Trzymane były w szopce zamknięte przez trzy tygodnie. W pierwszych dniach Kwietnia otworzono drzwiczki, by im udzielić swobody, ale przez dwa dni nie wychodziły z szopki, a jeżeli która kura wyszła, to wnet powracała. Trzeciej nocy dopiero wyszły wszystkie, więc kazałem zaraz rozebrać dwie ścianki chruściane, a ponieważ ciągle sypałem żer w szopce, więc trzymały się w pobliżu jej aż do żniw, poczem zaczęły się rozchodzić po zbożach. Żniwiarka przecięła dwoje młodych, w prosie włościańskiem zchwytano dwoje młodych ledwo opierzonych, w owsie znaleziono gniazdo z jajami, których zapewne matka się wyrzekła. Po ukończonych zbiorach ściągnęły się znowu wszystkie do lasu z wyjątkiem jednego stadka, które się stale w przyległym łanie kartofli trzymało. O ile dało się zliczyć, było pięćdziesiąt kilka sztuk młodych, a wiele z nich wybrały jastrzębie, których wielka mnogość w lasku się trzymała mimo ciągłego strzelania. Wielką usługę oddawał wypchany puhacz, na którego jastrzębie natarczywie biły, i przy nim strzelane były. Ubito także jednego lisa, który się wkradł do bażantarni i z widoczną rozkoszą tamże przebywał. W pierwszych dniach Września wyjechałem z domu, i wróciłem aż 16go, nadzorcę mającego strzedz bażantarni, wysłano w czasie mej niebytności na drugi folwark, włościanie więc korzystając z tego niedozoru zakradali się nocami w przyległy łan koniczyny i paśli na niej konie. Wróciwszy do domu przekonałem się, że bażanty wypłoszone porozlatywały się po polach tak, iż nawet w odległości dwóch mil jedną kurę widziano. Trzeba więc było zapolowawać na resztę. Sprosiwszy kilku sąsiadów i wziąwszy kilkunastu chłopców, udaliśmy się 22 Września do lasku, gdzie zastaliśmy jeszcze wiele bażantów i ubiliśmy sztuk 25, a przytem 6 zajęcy i jedną słonkę. Zostało jeszcze około 15 sztuk nie licząc tych, które po obcych polach się rozbiegły. *Zdzisław Obertyński.*

Donosi nam nadleśniczy dóbr Poturzyckich Exc. hr. Włodzim. Dzieduszyckiego p. Fabiański, że motylica grasuje jak w zeszłym roku między sarnami. Dziwi nas ta wiadomość, widzieliśmy bowiem ubite kozły piękne i łojne. Upraszamy o doniesienia w tej mierze, jakoteż w ogóle o wspieranie usiłowań „Łowca" artykułami, korespondencyami lub drobnymi zapiskami z doświadczeń i badań czyto naukowych czy myśliw-

skich. Tylko takiem gorliwem poparciem zdoła sobie „Łowiec“ zapewnić dalszy byt i to uznanie i wzięcie, jakiemi się dotąd chlubi.

Dziś dnia 15 b. m. ubiliśmy w rewirze Starosielskim w 4 strzelb 37 zajęcy, 6 lisów, 3 rogacze, jedną słonkę i jedną kuropatwę. Ja sam zabiłem 12 zajęcy, 3 lisy i 2 rogacze — bez żadnego pudła!

Józef hr. Potocki.

Donoszą nam, iż w Rudnikach w Stryjskiem pojawiło się mnóstwo słonek.

Na targu lwowskim widzieliśmy dotąd tylko pojedyńcze słonki, dziś dopiero 18 b. m. notujemy sztuk 20, ztąd naturalny wniosek, że ciąg słonek właściwy dopiero się rozpoczyna.

Dnia 14 t. m. zabił braciszek klasztoru OO. Bernardynów w Sokalu na Bugu pelikana babę *(pelecanus onocrotalus)*, którego przesłano do Muzeum im. Dzieduszyckich.

W Krukienicach ubił hr. Zygmunt Drohojowski kunę leśną w odmianie koloru *chamois*, i przesłał ją łaskawie Muzeum im. Dzieduszyckich.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.**

Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.